Nr. 45. Warszawa, dnia 26 Października (7 Listopada) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z NORY GENIUSZU.

Strącony przez Jowisza i przyciśnięty Etną Enceladus huczał jeszcze z jej głębi, ogniste z niej wyrzucał oddechy, a ilekroć się z boku na bok przewrócił, góra cała i ziemia pod nią trzęsła się, przerażając śmiertelnych. Ks. Bismark, strącony przez cesarza Wilhelma, przewala się także, huczy i zieje ogniem i wywołuje dreszcze — jeżeli nie w Etnach, to przynajmniej w gazetach. Najwybitniejszym może wybuchem jego geniuszu, w marcu 1890 r. odsadzonego od czynu, jest nowa napaść na Capriviego, połączona z odkryciem dyplomatycznem, którego kiedyś dopiero, po jego śmierci, dokonać mieli historycy, piszący dzieje i jego samego i cesarstwa, które zbudował. Do napaści użył znowu żelazny kanclerz swojego dobrze wypróbowanego już organu *Hamburger Nachrichten*. Albo on sam, albo hr. Herbert podyktował redaktorowi tego dziennika wyjaśnienie z d. 25 z. m., szacowne nietylko dla historyi, ale i dla polityki bieżącej. Pobudkę dała *Vossische Ztng* niewinną wzmianką o ks. Gorczakowie. Bismarkiści tłómaczyli dawniejsze naprężenie stosunków z Rosyą osobistą niechęcią ministra. Dziennik berliński przypomina, że przecież minister umarł już w r. 1883, a stosunki i po jego śmierci jeszcze nie były przyjaznemi: musiała więc być inna jeszcze przyczyna.

Ta, lękliwie wypowiedziana uwaga ubodła olbrzyma. Mógłby kto pomyśleć, że ta inna przyczyna tkwiła w nim samym, w jego metodzie politycznej: przewrócił się więc na drugi bok w swej pustelni lauenburskiej i buchnął słupem światła, ognia i dymu. Dopóki on, Bismarck, rządził, stosunki nie układały się bynajmniej, w przymierze francusko-rosyjskie. W Skierniewicach już, w r. 1884, ustalił dobre porozumienie, i trwało ono do czasu strącenia Enceladа, do marca 1890 r. Oba mocarstwa wzajemnie poręczyły sobie życzliwą neutralność w razie napaści z zewnątrz: Niemcy zabezpieczyły się tym sposobem od Francyi, Rosya od Austryi. Po upadku ks. Bismarcka ugody tej już nie odnowiono, jedynie tylko wskutek niechęci hr. Capriviego; Rosya bowiem, chociaż mogła słusznie zadawać sobie pytanie: dokąd zmierza polityka przez następcę wielkiego kanclerza na innych polach uprawiana, pierwsza zażądała przedłużenia umowy z r. 1884 na czas dalszy. Wtedy dopiero, kiedy hr. Caprivi z dobrodziejstw reasekuracyi politycznej korzystać nie chciał, gabinet petersburski pomyślał o poszukaniu przyjaźni gdzie indziej i związał się z rzecząpospolitą francuską. Niechże Niemcy wiedzą, że przymierze, które dziś oślepiające blaski swoje w świat rzuca, mają do zawdzięczenia — Capriviemu.

Takie jest nowe odkrycie. Nic więcej w niem nie ma, prócz wyraźnego określenia tych pól, a raczej tych bezdroży, na których błąkała się niedołężna polityka następcy—niezależnie już od bezpośrednich stosunków z Rosyą. Dowiedział się tedy świat, że Bismarck, zawarłszy z Austryą d. 15 października 1879 jedno przymierze ochronne, zawarł we wrześniu 1884 r. z Rosyą drugie, ocierające się o interesy Austryi, która o tem nowem związaniu się swego sprzymierzeńca wcale do dziś dnia nie wiedziała. Litera umowy, podpisanej przez ks. Reuss i hr. Andrassego w Wiedniu, pozwalała wprawdzie na takie zabezpieczenie się od strony sąsiedniego mocarstwa w przewidywaniu możliwego sojuszu jakby geograficznego, wywoływanego przez samo położenie geograficzne; duch jednak— *animus agendi* — dopominał się przynajmniej zawiadomienia gabinetu austro-węgierskiego o czynie zaraz po jego spełnieniu. Wiadomości z poważnego źródła otrzymane przez *N. fr. Presse* nakazują uważać nietylko odkrycie samo za najprawdziwsze, ale i dwustronne poręczenie neutralności za ujęte w formę umowy piśmiennej. Była to owa druga cięciwa w łuku, o której Bismarck w ciągu sześciolecia aż do swego upadku, tajemniczo wówczas dla świata, nieraz się odzywał.

Wobec niewątpliwego już faktu, kto działał z lepszą wiarą: czy Austrya, o której Bismarck, mimo istniejącego przymierza, nie wahał się głosić, iż militarnie nie jest sprzymierzeńcem wzbudzającym ufność; czy Niemcy, które samowolnie, po za jej plecami, wytwarzały asekuracyę dla swej w r. 1870—71 zbudowanej wielkości? Punkt etyczny jest jasnym. Ale i w tej genialności ks. Bismarcka, która nakazywała mu zabezpieczać sobie przody, boki i tyły — i całą swą peryferyę — więcej może było lękliwości, niż rozumu. Dzieje właśnie tych lat, przez które obowiązywała umowa o życzliwą neutralność w wojnie, dowodzą, ustawicznej nieżyczliwości Bismarcka dla Rosyi w pokoju. Je-

żeli istotnie w r. 1890 Caprivi odrzucił propozycyę, jedyna korzyść danego stosunku umownego sprowadzać się mogła do nadziei, iż ostatecznie uda się Niemcy oderwać od Austryi. Lecz jak w oświetleniu takiem wygląda wielkość i dobra wiara niemiecka? Co trzymać o polityku w dwustronnej asekuracyi ściągającym na siebie dwustronne niebezpieczeństwo? Nie spostrzegł Bismarck, że jest na łasce dyplomacyi rosyjskiej. Jedno jej słowo, jedno ogłoszenie, odpowiadające na słynne ujawnienie przymierza z Austryą w lutym 1888 r., wystarczało do zdmuchnięcia tak pompatycznie ujawnionej przyjaźni.

Tylko dyplomacya rosyjska przez dochowanie tajemnicy ocaliła, zarówno potrójne przymierze, które Węgrzy prawie napewno zburzyć byliby chcieli, jak i samego Bismarcka — jego wielkość. Umowa o neutralność już na początku roku 1888-go należałaby do przeszłości; nie potrzebowałaby czekać na niedołęztwo Capriviego, aby się rozwiać w nicość. Sam Bismarck do tej umowy za wielką przywiązuje wagę, a propozycya odnowienia, pomimo zapewnień, jest prawdziwie zagadkową. Raczej wierzyć-by się chciało, że już za Bismarcka, słowa, choćby najuroczyściej spisane, ale gwałcone przez czyny — żadnej nie miały mocy.

Tydzień polityczny. Odkrycie bismarkowskie nie przestaje zajmować Europy urzędowej i dziennikarskiej. Dzienniki rosyjskie z największą zachowują się powściągliwością, nawet gdy chwytają szydło wystające z worka: zamiar zamącenia stosunków z Francyą. Brak zaprzeczenia uważać potrzeba za przyznanie prawdziwości odkrycia. Dzienniki angielskie ze swojej, włoskie ze swojej znowu strony, wróżą trójprzymierzu rozpadnięcie się: idą za niemi i niektóre francuskie, choć dla tych znowu najważniejszym momentem jest przewrotność Bismarcka, w samej rzeczy skacząca do oczu. Dopełniające wiadomości *Neue freie Presse* mają powagę historyczną; wszakże i one jeszcze nie odpowiadają na pytanie: azali już za Bismarcka umowa o neutralność nie była martwą? Ważne są przypomnienia owej życzliwości, jakiej czynami Bismarck Rosyi dowodził, znajdujące się w *National Ztg.* Dodać potrzeba, że w *Hamburger Nachrichten* Bismarck jako śmiertelne grzechy Capriviego, prócz nieodnowienia umowy o neutralność, wymienia jeszcze jego politykę angielską i jego zaciekłe polonofilstwo.

Podobno Cesarz Wilhelm zaraz po zwierzeniach bismarkowskich napisał list uspakajający do cesarza Franciszka Józefa.

Zwycięstwo stronnictwa rządowego, liberalnego, na wyborach sejmowych w Węgrzech przeszło oczekiwania samego rządu. Na 413 członków sejmu opozycya ma zaledwie 110 swoich.

W Galicyi wybory dopełniające, potrzebne z powodu powiększenia liczby mandatów ze Lwowa i Krakowa, ukończyły się w przeszłym tygodniu, jeszcze bez ostatecznego rezultatu. Lwów ma wybrać jeszcze jednego posła: dokonał już wyboru p. Małachowskiego, nowego prezydenta. W Krakowie przeszedł zachowawczy p. Zoll, prof. uniwersytetu.

W Austryi Niższej sejm na nowo wybierany.

W całej Przedlitawii odbyły się wybory do rad gminnych.

Stany Zjednoczone, we wtorek po pierwszym poniedziałku listopada, d. 3 b. m. wybierały wyborców prezydenta. Telegramy donoszą o zwycięztwie stronników Mc Kinleya, republikanina. Na 447 głosów ma on mieć zapewnionych zgórą 300.

Izby francuskie d. 27 z. m. zebrały się do ułożenia porządku dziennego, nazajutrz pracowały w komisyach, dnia 29 rozpoczęły już czynności właściwe, ale je przerwały na Święta Umarłych. D. 3 b. m. p. Hanotaux wyjaśniał sprawę wschodnią. Jaurès odpowiadał.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI.

Od kilku miesięcy są prowadzone prace przygotowawcze do jednodniowego spisu ludności w całem państwie. Jest to przedsięwzięcie nadzwyczaj doniosłe, nie wynika ono bowiem z prostej ciekawości ani względów fiskalnych, lecz z potrzeb naukowych, ekonomicznych, społecznych i wogóle kulturalnych. Na obliczeniach ludności ekonomiści niejednokrotnie opierali swoje wywody, dotyczące wędrówek mas i stanu materyalnego danych okolic kraju. Wykazy te wreszcie, o ile nie są jednostronne, dają możność jasnej oceny warunków bytu ludności, obfity materyał geografom, etnologom i politykom. Ekonomiści nieraz już zastanawiali się nad pytaniem, jaka najmniejsza gęstość zaludnienia konieczną jest dla rozwoju społeczeństwa i gdzie granica, po za którą wzrost ludności sprowadza wszelkiego rodzaju niedomagania społeczne? Pomimo usiłowań, dotąd jeszcze ściśle nie oznaczono tych granic. Sprawdzono tylko, że tam, gdzie stosunek ludności jest 20:1, mieszkańcy mogą się cieszyć dobrobytem i rozwojem duchowym.

W Belgii na jeden kilometr kwadratowy przypada 200 ludzi, w Anglii 173, Lombardyi 169, Danii 55. Szwecyi 11, Norwegii 6. Gdyby jednak to twierdzenia, oparte na stosunku ludności, brać ściśle według przypadkowej i częstokroć nielogicznej statystyki, można byłoby nieraz przyjść do bardzo fałszywych wniosków, niemających ani praktycznej, ani naukowej wartości. Tak np. Anglia i Belgia pod względem rozwoju duchowo-materyalnego stoją wyżej, niż półwysep Skandynawski, ale trudno z tem się pogodzić, żeby przewyższały Szwecyę i Norwegię o 10, 20, 30 razy, tj. w przybliżonym stosunku do zaludnienia. Nowy Świat o wiele dziś już wyprzedził pod względem kultury Europę i stał się groźnym jej współzawodnikiem, a nawet rozwojem umysłowym często ją przerasta, pod względem zaś gęstości zaludnienia zajmuje podrzędne miejsce na znacznych przestrzeniach. Wiktorya, pierwszorzędna i najbogatsza kolonia wielkobrytańska w Australii, na przestrzeni około 88,000 angielskich mil kwadratowych liczy 1,060,000 mieszkańców, czyli niespełna 4,6 na jeden kilometr kwadratowy. Pomimo to wiadomo wszakże, iż Stany Zjednoczone i Australia pod względem bogactwa materyalnego, a poniekąd rozwoju umysłowego i politycznego przewyższają Wielkobrytanię. Nie można tedy opierać ogólnych wniosków, dotyczących rozwoju moralnego i materyalnego, bez zastrzeżeń, na stosunku zaludnienia.

Statystyka ludności wogóle ma jednak doniosłe znaczenie w gospodarstwie narodowem; jako środek pomocniczy do innych poszukiwań daje możność oryentowania się w warunkach, a następnie — równoważenia różnych urządzeń. Dobrze zorganizowana i na podstawie naukowej przeprowadzona, daje ona obfity materyał do badań poważnych. Zadaniem jej nie jest zebranie cyfr ludności, tj. spisania głów w całem państwie, lecz wykazanie, stopnia wykształcenia, rodzaju, a zatem i sumy pracy w różnych dziedzinach, stopnia fizycznego lub umysłowego uzdolnienia do pracy produkcyjnej, obliczenia ludności nieprodukcyjnej, tj. kalekiej i zniedołężniałej, a więc obarczającej w pewnym stopniu społeczeństwo, wreszcie wykazania ognisk, skupiających ludność napływową i przyczyny ciążenia mas do nich.

Rosya właściwie po raz pierwszy przystąpiła do tego olbrzymiego i postępowego przedsięwzięcia. Dotychczas bowiem osiągano dane statyczne za pomocą t. zw. rewizyj, dokonywanych wyłącznie dla celów skarbowych. Brano więc pod uwagę tylko ludność podatkową, z pominięciem kobiet, dzieci i stanów wolnych od tych ciężarów. Oczywiście przy takim systemie nie mogło być dokładności, materyał zaś tą drogą zebrany nie dawał żadnej wartości naukowej.

Całemu światu cywilizowanemu przykład dały Stany Zjednoczone Ameryki północnej, w których przeszło przed stu laty — r. 1790, dokonano po raz pierwszy powszechnego spisu ludności w ciągu jednego dnia i od tego czasu powtarzany on jest stale co lat dziesięć. Na zachodzie Europy dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia puszczono w ruch tego rodzaju machineryę statystyczną. W Niemczech zaś — tem państwie statystyki naukowej — spisy jednodniowe datują się dopiero od lat 25 (r. 1871) i są powtarzane w odstępach pięcioletnich. Ponieważ Stany Zjednoczone mają największe w tej mierze doświadczenie, więc i Rosya postanowiła wzorować się na ich organizacyi, chociaż z powodu swych olbrzymich i bardziej, niż w Unii amerykańskiej, różnorodnych obszarów pod względem klimatycznym, kulturalnym i etnograficznym, musi ona wyrobić sobie w wielu wypadkach zupełnie odrębne metody. Już roboty przygotowawcze dają pojęcie o ogromie i komplikacyi tej machineryi statystycznej, w której miliony współpracowników wezmą udział.

Naczelne kierownictwo spisu objął minister spraw wewnętrznych. Siedliskiem komitetu centralnego jest Petersburg. Prócz tego powstają komitety gubernialne i powiatowe we wszystkich guberniach i powiatach, wreszcie niezależnie od nich oddzielne komitety w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Odesie, Sewastopolu, Kierczu, Mikołajowie i Kronsztadzie. Na członków komitetu powołane będą osoby urzędowe, tj. przedstawiciele władz miejscowych. Nadto zaproszone będą w charakterze członków zwyczajnych osoby prywatne. Na czele oddzielnych komitetów staną ludzie wyznaczeni przez ministra spraw wewnętrznych. Przewodniczącymi komitetów gubernialnych będą gubernatorowie, powiatowych — marszałkowie szlachty, a gdzie ich nie ma — inne osoby, wyznaczone przez ministra spraw wewnętrznych. Wszelkie sprawy mogą być rozstrzygane za pomocą głosowania.

Komitety powiatowe i miejskie mogą być podzielone na liczne okręgi. Każdy kierownik danego okręgu spisowego otrzyma rachmistrzów specyalnych, których obowiązkiem jest dostarczanie do mieszkań list spisowych tudzież ich odbiór, a po wsiach — osobiste wpisywanie wiadomości udzielanych.

W schematach mają być wypełnione następujące rubryki: 1) Imię i nazwisko tudzież imię ojca; 2) stanowisko w rodzinie (kawaler, żonaty, wdowiec, rozwiedziony); 3) stosunek do gospodarza domu (krewny, sublokator, służący); 4) płeć; 5) wiek; 6) stan; 7) wyznanie; 8) miejsce urodzenia; 9) miejsce stałego zamieszkania, a raczej zapisania w księgach ludności (cudzoziemcy prócz tego wykazać powinni poddaństwo); 10) miejsce stałego pobytu; 11) język ojczysty; 12) piśmienność lub niepiśmienność; 13) rodzaj zajęcia, czyli sposób utrzymania; 14) ważniejsze braki fizyczne (kalectwo i jego rodzaj). Rubryki te powinny być wypełnione na dwu egzemplarzach, z których jeden pozostanie w archiwum najbliższej instytucyi ministeryum spraw wewnętrznych, drugi zaś, po sprawdzeniu i zaregestrowaniu w komitetach miejscowych, odesłany będzie do centralnego. Po wsiach, w chatach włościańskich schematy owe zapełniać będą sami rachmistrze; w dworach, plebaniach, fabrykach, zakładach przemysłowych, na stacyach kolejowych i pocztowych, przystaniach wodnych, wreszcie na statkach—właściciele lub dzierżawcy majątków, zarządzający zakładami, naczelnicy stacyj i przystani, kapitanowie statków, w miastach gospodarze oddzielnych mieszkań. W instytucyach państwowych lub prywatnych, w zakładach szkolnych i dobroczynnych, więzieniach i szpitalach kierownicy owych instytucyj; spisywać oni będą tylko te osoby, które gdzieindziej nie mają stałych mieszkań. Spisu żołnierzy dokonają naczelnicy wojenni. Oficerowie zaś, mieszkający po za obrębem gmachów wojskowych, podlegają tym samym przepisom, co inni lokatorowie.

Po ukończeniu spisu kierownicy oddzielnych okręgów sprawdzają schematy, wypełnione pod kontrolą komitetów miejscowych. Wyznaczono na to cztery miesiące. Po sześciu miesiącach od dnia spisu komitety miejscowe przestają istnieć. Opracowywanie danych statystycznych z tego materyału i rozporządzanie nim należy wyłącznie do komitetu centralnego. Na specyalne opracowywanie wymagane będzie pozwolenie ministra spraw wewnętrznych.

Oprócz przepisów ogólnych dla całego państwa, istnieją jeszcze rozporządzenia specyalne dotyczące ludności koczowniczej i zamieszkałej w górach. Dla tej drugiej zrobiono wyjątek co do terminu spisu ze względu na trudności, z warunkiem wszakże, ażeby spis był skończony na wiosnę r. p. Ludność Kaukazu będzie jeszcze miała pytania dodatkowe, dotyczące języka, niezależnie od narodowości. Prócz tego specyalne przepisy będą zastosowane do ludności w kraju Zakaspijskim, Uralskim, Turkiestańskim, Turgajskim, w general - gubernatorstwach: Nadamurskiem i Irkuckiem, wreszcie w guberniach: Archangielskiej, Astrachańskiej, Orenburskiej, Tobolskiej i Tomskiej.

Dotąd jeszcze nie oznaczono ściśle dnia, w którym się odbędzie spis jednodniowy; prawdopodobnie w końcu stycznia r. p. Byłby to może czas najwłaściwszy, gdyż w zimie, bez względu na stan, rodzaj pracy i położenie społeczne, większość mieszkańców przebywa na miejscu, w domu. Wogóle wszakże dokonanie spisu jednodniowego na olbrzymich obszarach europejsko-azyatyckich, od Dunaju do oceanu Lodowatego, od Bałtyku i lądowych granic zachodnich do oceanu Wielkiego, jest to zadanie nadzwyczaj trudne i pogmatwane. Zwłaszcza ciężka będzie sprawa śród ludów koczowniczych, górskich, śród mieszkańców dalekiej północy i wschodu azyatyckiego, gdzie zarówno tryb życia, stan kulturalny, jak i warunki komunikacyjne czynią tego rodzaju przedsięwzięcie w wielu miejscowościach prawie niemożliwem. Prócz tego niełatwe będzie zadanie śród ciemnej ludności podatkowej, która pomimo wyjaśnień nie zawsze uwierzy w cele spisu i nie zrozumie jego znaczenia. Pamięta ona żywo różne spisy, mające na względzie opodatkowanie, więc nawykła do ukrywania stanu istotnego.

Komitety powinny być przygotowane na to, że i dziś, pomimo zmiany postaci i celów, będą miały ciężką walkę z uporczywem niedowierzaniem. Biorąc udział w spisie jednodniowym m. Warszawy, mieliśmy sposobność przekonać się, że i ludność średnio wykształcona jest skłonną do fałszerstwa w tej mierze. Na to należałoby właśnie baczną uwagę zwrócić. *Warsz. Dniew.* zaznaczył niedawno trudność tego rodzaju — ze strony Żydów, powołując się na ich odwieczne przesądy, które każą im unikać liczenia ludzi, ażeby tym sposobem pomoru nie sprowadzić. Nie wolną przecież jest od przesądów i niewiary względem wszelkiej statystyki i ludność chrześciańska. Ale nie zapominajmy, że pomyślność przeprowadzenia dzieła w znacznej mierze zależy także od współpracowników spisu.

Wszyscy więc, którzy wezmą udział w spisie jednodniowym, powinni pamiętać o wielkiej odpowiedzialności moralnej i dążyć do osiągnięcia możliwie najrzetelniejszej prawdy.

LISTY Z PARYŻA.

Szruba podatkowa; skargi, że coraz mocniej przyciska — Nowe podatki: od służby domowej, od bezdzietności, od kart, od świadectw choroby.— Wzrost biurokratyzmu.

Pismo codzienne *Rappel* ogłosiło przed kilkoma dniami następujący list jednego ze swoich czytelników: „Nie rozumiem się wcale na finansach, a mniej jeszcze na finansach państwowych, niż na jakichkolwiek innych. Jedynie to wiem, że od lat sześciu każą mi co rok płacić więcej podatków, niż poprzednio. Oto, szanowna redakcyo, kwoty, jakie przelałem do kasy państwa, pozostając zawsze w tem samem mieszkaniu: w 1891 r. 187 fr. 52 c., w 1892 — 192 fr. 64 c., w 1893 — 195 fr. 73 c., w 1894— 196 fr. 85 c., w 1895 — 199 fr. 9 c., w 1896 201 fr. 33 c.

Czy owa tabliczka nie budzi w was szczególnych myśli i czy nie znajdujecie, iż należałoby przedewszystkiem poprosić naszych czcigodnych o wstrzymanie tego postępu zbyt postępowego...

Nie wiem, co dzieje się w innych krajach, ale wydaje mi się potrosze baranią ta bierność, z jaką ponosimy co roku większe podatki, chociaż wiemy, że z nich nie korzystają ani biedni, ani handel, ani rolnictwo. Nie proszę już o zdjęcie nałożonego mi ciężaru, ale możeby w tym roku można obyć się bez jego zwiększania. Bo ostatecznie należy przypuszczać, że przyrost będzie trwał do nieskończoności."

Na to redakcya dość dowcipnie:

„Nasz prenumerator widocznie jest w błędzie. Obawy nieskończoności są płonne, wszystko ma koniec. Ale w r. 1897 nie oddamy więcej, niż poprzednio, na biednych, handel i rolnictwo, on zaś dopłaci do dawnej sumy znowu kilkadziesiąt centów."

Przypomina mi to opowiadanie o pewnym Rzymianinie, który chcąc wyrobić w synie swoim siłę, kazał mu nosić na plecach worek i dosypywał doń codzień łyżkę piasku. Rozwinęły się też barki u chłopaka, lecz czy od podatków także tężeją ramiona?

Bądź co bądź, dusze posłów i senatorów goszczą często w podniebnej krainie danin i od czasu do czasu coraz nowe odmiany sprowadzają na padół ziemski. Zatrzymam się tylko nad niektóremi, mając na widoku mniej wyczerpanie przedmiotu, niż ogólną charakterystykę.

Od kilku lat już wisi w powietrzu podatek na służbę domową. Pomysł ten wpadł najpierw zmarłemu ministrowi, potem przewodniczącemu Izby, Burdeau, „synowi ludu," jak nazywa go burżuazya. Podatek nie miał być nałożonym na lokajów i pokojowe, broń Boże, przeciwnie, opłacaliby go w razie uchwalenia pracodawcy. Ale bez wielkiego namysłu można orzec, kto by go właściwie ponosił. Pismo specyalne, „Dziennik sług," wytłomaczyło się jasno: „Miliony, które wejdą do kasy, zostaną zaczerpnięte pozornie z kieszeni naszych państwa. W istocie odbije się je na nas. Będziemy musieli powetować stratę dłuższą pracą, doznamy zmniejszenia płacy, zdrobnieją podarki i noworoczne gratyfikacye. A jest nas w samym Paryżu sto trzydzieści tysięcy."

Litość budziły zabiegi tych biedaków poważnie zagrożonych. Guesde i spółka udawali niewidzących, najmniej bowiem klienteli mieli pośród służby. Obie Izby jeszcze mniej mogły o nich myśleć, wobec tylu ważniejszych spraw politycznych. Projektodawca miał widoki powodzenia, gdy pewnego ranka runął wskutek jakiejś nieznacznej interpelacyi.

Krótki żywot ministeryów francuskich ocalił ich tym razem. Lecz w rok potem Ribot, stanąwszy u steru władzy, wystąpił z nowym projektem. Począwszy od gminy pięciotysięcznej, każdy, kto ma jednego służącego, będzie płacił podatek. Najniższa kategorya zostanie obciążoną ośmiu frankami od jednej osoby, 12 od dwóch, 15 od trzech itd. Im ludniejsze miasto, tem większy podatek; w Paryżu jeden służący dawałby prawo do pobrania 30 franków, dwaj do 45, trzy do 70. Od kobiet wszędzie połowę.

I tu uśmiercenie gabinetu Ribotowskiego pozbawiło wielkiego polityka jednej gałązki wawrzynowej, prawie że przylegającej mu już do czoła. Po pewnej przerwie projekt wrócił po raz trzeci i będzie znowu rozbierany przez Izbę. Opłatę od służby zlano teraz z podatkiem mieszkaniowym, zaznaczając jednakże, iż wzrost jego jest związany z ilością sług. Powtarzają się zebrania protestujące, powtarzają apelacye, ale i tu prawdopodobnie odpowiedź *Rappelu* będzie w zupełności na miejscu.

Tyle o humanitarności. Niektóre podatki są bardziej zasadne, ale też umotywowane arcygłupio.

Od r. 1897 zostanie prawdopodobnie wprowadzona zmiana podatku od mieszkań. Uwzględniona będzie liczba dzieci: tak np. wynajmujący mieszkanie za 500 franków, będą płacić rocznie 2 fr. 78 centimów, gdy tymczasem kawalerzy i bezdzietni zapłacą 38 fr. 8 c. Kawaler, najmujący za 700 fr., zapłaci fr. 51 c., małżeństwo z jednem dzieckiem—30 fr. 50 c., z dwojgiem — 19 fr. 46 c., z trojgiem — 8 fr. 34 c. Jeśli potomstwo dosięgło liczby czterech — nic. Natomiast kawaler uiści już od mieszkania 300-frankowego 13 fr. 90 c. podatku. On tylko, jako też małżeństwo bezdzietne, będą płacić od mieszkań za 400—480 fr.

Jest to bardzo logicznem, aby rodzice bardziej obarczeni wydatkami mniej płacili. Ale projektodawcy nie kryją się wcale z tem, że ich projekt zwalczy wyludnienie. „Związek przeciw wyludnieniu przyjmie nasz pomysł z pełnem zadowoleniem."

Oho! już teraz w jednym tylko roku 1897 urodzi się więcej Francuzów, niż w całem dziesięcioleciu. Kawalerzy czemprędzej włożą sobie na szyje jarzma małżeńskie — zwolni ich to od 13 fr. 90 c., a gdy im się urodzi pierwszy syn, będą mogli bez obawy opłat nająć mieszkanie za 480 fr. I dla stadeł zawartych już nie będzie bez uroku zmniejszenie np. 30 fr. 58 c. do 19 fr. 46 c.

Zaznaczyłem nowy ów podatek, posiadający ostatecznie cechy dodatnie dla uniknięcia jednostronności. Lecz niewiele podobnych możnaby znaleźć. Przejdę szybko zdwojenie od d. 1 stycznia 1896 r. podatku od kart. Omyliło ono rachuby w pierwszym kwartale zebrano o 120,000 franków mniej, niż się spodziewano. Aby starych talij nie sprzedawano, można nabywać do domów gry nowe tylko po złożeniu w kasie dawnego asa żołędnego. Zmniejszenie karciarstwa jest korzystnem, mimo to dowodzi przeholowania ze strony skarbników.

Oburzenie jednak wywołała inna nowość. Profesor uniwersytetu paryskiego, okulista Panas, wystawił przed kilku tygodniami jednemu ze swoich pacyentów szpitalnych świadectwo słabości na zwykłym półarkuszu papieru. Niemało było jego zdziwienie, gdy w kilka dni otrzymał urzędową wiadomość, że skazano go za to na 62 fr. 50 c. kary. Mianowicie w roku siódmym rzeczypospolitej wydano uchwałę, mocą której świadectwa choroby winny być na papierze stemplowym.

Uchwała ta przespała oba Cesarstwa, Restauracyę, drugą Rzeczpospolitą. Ale zbudziła się podczas Trzeciej, i dyrektor szpitali paryskich rozesłał świeżo okólnik, przywracający jej istnienie. Już kto idzie do szpitala — woła głos ogółu — jest ubogim; wychodzi nieraz, nie wiedząc kędy skierować kroki, dla znalezienia zarobku musi się wykazać często świadectwem słabości, ale za to świadectwo — niech płaci.

Ten i ów lekarz zlituje się gdy chory nic nie ma. — Ja zarabiam wszystkiego sześćdziesiąt centimów dziennie — powiedziała jedna chora do syna Charcota — skądże teraz zapłacę po chorobie? — Na to dobywa się z kieszeni pieniądze i kupuje papier stemplowy. Lecz powtórzona raz drugi i dziesiąty jałmużna, żadnej nadto nieprzedstawiająca korzyści dla chorego, stanie się niemiłą. Cóż wtedy?

A podatki te wywołane są nietylko koniecznościami politycznemi. Są i inne powody. I tak, system synekur: każdy minister wprowadza z sobą całe grono urzędników wyższych, przyprowadzeni przez poprzednika tracą miejsca, a za to otrzymują synekury. Po sześciu miesiącach ministeryum upada i powtarza się dawny proces. Znowu powstanie kilkanaście i więcej daremszczyzn.

Także wzrost biurokratyzmu. W tym względzie „Roczniki statystyczne Francyi" dostarczają ciekawych danych. W r. 1855 wypłacił rząd tytułem pensyi urzędnikom 240 milionów franków; w r. 1870 suma podniosła się o 55 milionów; w 1880 wynosiła już 441 milionów, a w 1893 równa się 517,256,887 frankom. Czyli od początku Rzeczypospolitej do r. 1893 — zdwojenie.

W. Bugiel.

RUCH KOBIECY W ANGLII I W NIEMCZECH.

Wśród chaosu zagadnień i prądów, które nurtują w głębi każdego nowoczesnego społeczeństwa, spotykamy z dziwną często monotonnością te same nazwy i hasła. Różne warunki wszakże polityczne i kulturalne, różna przeszłość historyczna wypełniają te same na pozór pojęcia różną w istocie treścią i zmuszają nas do rozpatrywania zjawisk społecznych w ścisłym związku zawsze z ich środowiskiem. To też jakkolwiek wszędzie rozwój podziału pracy i głębokie zmiany, jakie powstanie wielkiego przemysłu wywarło na stanowisko kobiety w rodzinie, uważać można za przyczynę powstania t. zw. ruchu niewieściego, inne kształty przecież on przybrać musiał wśród wolnościowych urządzeń Anglii, która już od lat trzystu ma demokratyczną konstytucyę, inne zaś w Niemczech *). Jak dalece szczery liberalizm, którym społeczeństwo angielskie jest przesiąkłe, skłonnym je czyni do przyznania kobietom pełnych praw politycznych, widzimy to najlepiej z toku rozpraw parlamentarnych. Wniosek nadania kobietom czynnego i biernego prawa wyborczego do wszystkich ciał parlamentarnych, upadł tylko większością 19 głosów i zarówno wielcy mężowie stanu angielscy, jak i wybitni uczeni (Spencer, Mill) zawsze w obronie praw kobiecych występowali. Gorący udział, jaki przyjmują w walkach wyborczych, jest wymownym dowodem ich interesowania się życiem politycznem. Zarówno małomieszczanki, jak i wytworne „ladies" chodzą w dniu wyborów od domu do domu dzień cały, aby tylko pozyskać jak największą ilość głosów dla swojego kandydata. Działalność kobiet w zarządach gminnych, w radach szkolnych, do których już sobie przystęp wywalczyły, cieszy się ogólnem uznaniem; z roku na rok zwiększa się nietylko ilość oddających głosy, ale także wybranych. W roku 1895 zasiadały już kobiety we wszystkich radach szkolnych, a dziewięćset w instytucyach gminnych dla opieki nad ubogimi. Dzięki niestrudzonej agitacyi, odwiedzanie oraz nadzór nad więzieniami żeńskiemi oddano wyłącznie t. zw. „matronom policyjnym," które należą do stałego składu policyjnego wszystkich większych miast.

Do najważniejszych zdobyczy na tem polu w Anglii należy bezsprzecznie oddanie kobietom miejsc urzędniczych w ministeryum handlu oraz posad inspektorów fabrycznych, na których, dzięki zaufaniu, jakie im okazują robotnice, wyrobić sobie mogą o wiele dokładniejszy obraz ich stosunków życiowych od swoich męzkich kolegów. Przedmiotowość oraz bezwzględna szczerość, jaka się przebija w ich sprawozdaniach, są najlepszym dowodem, iż rozumieją odpowiedzialność łączącą się z tak trudnem stanowiskiem, a sumienność i energia, z jaką spełniają swoje obowiązki, budzą zarówno w kołach rządowych, jak robotniczych, uznanie oraz chęć rozszerzenia zakresu ich działalności. Kobiety, zatrudnione w ministeryum handlu, odpowiadają również godnie swemu zadaniu, a zestawiona przez Miss Klarę Colles statystyka płac, wieku, stosunków domowych, kobiet pracujących w przemyśle, należy do najlepszych prac tego rodzaju.

Ruch niewieści w Anglii nietylko otworzył sobie drogę do istniejących już urządzeń państwowych, ale stworzył zarazem cały szereg instytucyj prywatnych o doniosłem częstokroć dla społeczeństwa znaczeniu. Pierwsze miejsce należy się tutaj stowarzyszeniu, które zajmuje się badaniem robót kobiecych, zwracając przytem główną uwagę na przemysł domowy, wyjęty w Anglii z pod kontroli państwowej. Badania prowadzone są przy pomocy licznych komisyj, a zebrany w ten sposób bogaty materyał przyczynił się niemało do wykrycia nadużyć t. zw. „sweating-system."

Równouprawnienie kobiet nie jest w Anglii hasłem pewnej tylko partyi, ani też płaszczykiem, kryjącym próżność lub egoizm dam, chcących współzawodniczyć o sławę i byt z mężczyznami, to też agitacya objawia się tam zawsze stawianiem zadań, dążących ku polepszeniu społecznego i politycznego stanowiska ogółu niewiast. Angielki, nawet z wyższych sfer mieszczańskich pochodzące, nie zadawalają się pukaniem do podwojów uniwersyteckich, ani też rozdawaniem jałmużny, lecz starają się wtargnąć do wszystkich dziedzin życia społecznego. Widzimy je też zakładające stowarzyszenia robotnicze, wygłaszające mowy, odczyty lub też zajęte wspólnie z robotnicami wysyłaniem próśb i protestów.

Solidarność bywa wprawdzie często przyczyną pewnego zamieszania pojęć i pociąga za sobą nieraz ujemne skutki, lecz stanowi charakterystyczną cechę dla ruchu kobiecego w Anglii i chroni go od jednostronności, stanowiącej jego znamię w Niemczech, gdzie on nie przedstawia walki o wyzwolenie kobiet z krępujących je więzów społecznych, politycznych i prawnych, lecz tylko dobijanie się do uniwersytetów. Jest wprawdzie rzeczą niewątpliwą, iż on i te cele obejmować musi, ale osiągnięcie dyplomów doktorskich nie może być jedynem rozwiązaniem kwestyi. Dlatego też kwestya ta w Niemczech, którą jej bojowniczki starały się umotywować istnieniem miliona „nadliczbowych," a zatem skazanych na staropanieństwo kobiet w swoim kraju, zeszła na t. zw., kwestyę „damską" i ogarnęła wyłącznie dążące do zdobycia samodzielnego stanowiska przedstawicielki sfer mieszczańskich. Na czele tego ruchu stanął utworzony w r. 1865 w Lipsku „Ogólny Związek niewieści," który zażądał w programie swoim „prawa do pracy" dla wszystkich kobiet i ogłosił pracę ich „obowiązkiem i chlubą." Jako cel postawił sobie „dążenie wspólnemi siłami do wyższego wykształcenia i usunięcia wszystkich przeszkód, jakie pracujące kobiety spotykają na swojej drodze. W początkach istnienia swego starał się „Związek" nietylko o dopuszczenie kobiet do służby kolejowej i pocztowej, lecz uwzględniał także los pracujących po fabrykach, z czasem wszakże zakładanie gimnazyów dla kobiet i udzielanie zapomóg kształcącym się na uniwersytetach pochłonęło go w zupełności. W r. 1894 wyparł się wszelkiej łączności z radykalizmem politycznym i reprezentuje w obecnym swym składzie wyłącznie interesy kobiet, pochodzących ze sfer mieszczańskich, nauczycielek, studentek, urzędniczek itd.

Liczne dobroczynne instytucye, kuchnie ludowe, ogródki froeblowskie, przytuliska dla biednych dzieci, które powstały dzięki staraniom niewieścim, utrudniają ocenę rzeczywistych zdobyczy dotychczasowego ruchu kobiecego, który ściśle od

---

*) Lili v. Giżycki. *Zur Beurteilung der Frauenbewegung in England und Deutschland.* Berlin. 1896.

filantropijnych porywów odróżniać należy. Na polu dobroczynnem zdziałały Niemki rzeczywiście wiele, jakkolwiek i pod tym względem nie dorównywają Angielkom; rezultatem za to ich społecznej działalności jest tylko dopuszczenie kobiet do służby pocztowej i telegraficznej i do wyższych posad nauczycielskich, oraz założenie gimnazyum żeńskiego w Lipsku, Berlinie i w Karlsruhe.

Podczas obrad nad projektem nowej ustawy cywilnej „Związek“ wystosował wprawdzie prośbę o zniesienie kilku paragrafów, tyczących się stanowiska kobiet w rodzinie, które pochodziły jeszcze z czasów Fryderyka II. Petycyi nie uwzględniono i mimo doniosłych zmian, jakie zaszły w położeniu ekonomicznem i społecznem kobiet, prawno-prywatne stanowisko ich w Niemczech pozostało takie same prawie, jak przed stu laty.

N. I.

LIBERUM VETO.

Klub Cynadra i jego losy ze smutnem zakończeniem. — Zatarg Pierzchały ze sprawiedliwością. — Ich skargi w redakcyach pism warszawskich.—Wyprawa przeciw hazardowi i jej skutki. — Operacya głębokiej gangreny papierowym nożem. — Leczenie rany ode dna. — Jakim sposobem społeczeństwo grające zamienić na niegrające. — Wskazówka dla literatury pedagogicznej.

Całej tej wrzawy w prasie narobił Icek Cynader i Piotrek Pierzchała. Pierwszy z nich w swojem mieszkaniu przy ulicy Nowolipki urządził maleńki klub — bardzo maleńki, bo mieścił się w jednym dusznym pokoiku, którego ciasną przestrzeń uszczuplały nietylko dzieci, żona, sprzęty, ale nadto grube warstwy brudu na podłodze. Wieczorem, kiedy czworo młodszych „bachurów“ utonęło w pierzynie, a tylko dwoje starych pozostało dla przyglądania się pouczającej zabawie starszych, przychodzili do Cynadra stali goście, pomiędzy których zaplątał się czasem jakiś nowy, gospodarzowi wcale nieznany. Po krótkiem powitaniu zasiadali oni na krzesełkach, skrzynkach, przewróconych dnem do góry kubełkach około małego stolika, na którym gospodarz kładł dwie talie brudnych kart. Sprawdziwszy ich komplet, członkowie klubu rozpoczynali grę „w oko.“ Była to gra niezmiernie hazardowna, nietylko przez swe rezultaty, które najwyżej dosięgały paru rubli, ile przez zachowanie się partnerów, którzy nieraz śród nieustannej kłótni i wymysłów podbijali sobie... oczy. Cynader uczestniczył w zabawie rzadko i bardzo niewielkiemi stawkami, ale pobierał naprzód 10, potem 7½ procentu od wygranych; jeżeli zaś zysk jego przekroczył 50 kop., pani Cynadrowa dawała gościom trzy roztarte z solą na misce cebule, których miazgę oni zbierali przyniesionemi z sobą bułkami.

Istniał ten klubik zaledwie kilka miesięcy, gdy pewnego nieszczęśliwego dnia— nieszczęśliwego podwójnie, bo najstarszy synek Cynadrów, bardzo sprytny Mojsie, przystawiwszy do kogoś kopiejkę, przegrał ją — wszedł rewirowy, zabrał karty, wszystkich członków zaprowadził do cyrkułu, gdzie spisano protokół i gospodarza lokalu za utrzymywanie domu gry hazardownej pociągnięto do odpowiedzialności. Sąd skazał go na 15 rs. kary.

Dotknięty tak boleśnie w kieszeń Cynader postanowił się zemścić. Obszedł on redakcye główniejszych dzienników warszawskich i złożył im na sercu swoją krzywdę w następujących słowach:

— Przepraszam państwo, to jest podwójna waga. Ja zapłaciłem 15 rs. za to, że u mnie biedne Żydki bawili się „w oko“ — niech to będzie sprawiedliwość; ale bogate panowie we wszystkich resursach grają po całych nocach i jeden drugiemu zabiera po kilkadziesiąt tysięcy rubli — to oni nie zapłacą nic? Dlaczego tak ma być? U mnie raz tylko furman z Grzybowa, Szaja Piernat, no, zwykle grubian, wybił i to całkiem spróchniały ząb tragarzowi Mendlowi z za Żelaznej Bramy — z tego wielki gwałt; a że jeden z panów, którego ograli, zastrzelił się, to mała bagatela? Ja brałem 7½% od wygranych i utargowałem na moje sumienie najwyżej 63 kopiejki — to jestem rabuśnik; a lizator, który bierze 10% od tysiąców rubli—to porządny kapitalista? Przepraszam państwo, gdzie tu sprawiedliwość? Jeżeli ja zapłaciłem 15 rs., oni powinni zapłacić codzień 15,000 i spacerować ciągle od cyrkułu do sądu. Niech państwo to wydrukują, bo ja tak napisałem w moje apelacyo do Zjazdu.

Piotrek Pierzchała miał podobny wypadek. Siadywał on co święto pod parkanem na jednym z pustych placów nad Wisłą z garścią znaczonych guzików, oczekując na chłopców rzemieślniczych, którzy z nim grali „w podrzutkę.“ Podobno — chociaż tego faktu nie ustalono — „opłukiwał“ on swych partnerów, którzy nieraz przegrywali do niego po 15 kop. Pewnego dnia również „nakryto“ cały klubik, a Pierzchałę za organizacyę hazardu oddano pod sąd, który go skazał na 3 rs. kary lub areszt. Ponieważ ubogi szuler nadwiślański nie posiadał tak wielkiej sumy, więc wypłacił dług sprawiedliwości siedzeniem. Wyszedłszy z kozy, odwiedził redakcye dzienników warszawskich i wylał przed niemi taką skargę:

— Niech wielmożni panowie co prędzej ogłoszą, że tak być nie powinno. Wsadzono mnie do ula za to, że graliśmy pod parkanem, a nie w pięknym pokoju, że rzucaliśmy guziki a nie karty, że stawialiśmy po kopiejce a nie po tysiąc rubli. Ale skądże ja wezmę pałacu i pieniędzy, kiedy sypiam w przytułku noclegowym, a całego majątku posiadam 4 złote i groszy szesnaście? Dopraszam się łaski panów, albo niech ci, co azardują się w resursach, również idą do ula, albo niech ja będę odszkodowany. Prawda, dali mi w kozie darmo mieszkanie i wikt, ale na honorze ucierpiałem.

Wzruszone, a może i przekonane argumentacyą Cynadra i Pierzchały redakcye dzienników warszawskich, które dotychczas patrzały pobłażliwie na orgie karciane w tutejszych klubach, a nawet częściowo brały w nich czynny udział, wystąpiły z piorunującem kazaniem. Dowodu publicznego dostarczyło sprawozdanie Towarzystwa racyonalnego *polowania* (!), w którem za zużyto karty i kary z powodu przeciągania gry w nocy wykazano około 7,000 rs. rocznie, ozdoby zaś krasomówczej — samobójstwo pewnego młodzieńca, który „spłókał się“ lepiej, niż pod parkanem na Powiślu lub w mieszkaniu Cynadra. W zapędzie oratorskim wydobyto z ukrycia „ptaki niebieskie,“ które nie sieją i nie orzą, a jednak żyją zbytkownie — z szulerki, przyczem zdarzył się mały *lapsus logicae*. „Ludzi — powiada organ „towarzystwa“ — żyjących z gry w karty, a więc poniekąd z krzywdy ludzkiej, zna cała Warszawa (czytaj: *toute Varsovie*); zbyt często na ulicy palcami ich pokazują, a jednak te „ptaki niebieskie“ mają dostęp *do najlepszych towarzystw*, do *pierwszych w mieście salonów*, są członkami resurs i klubów, do których dostają się na mocy balotowania. Co można sądzić o takich balotowaniach, jeżeli wychodzą z nich zwycięzko zawodowi karciarzo?“ Przepraszam — tu się wprzódy nasuwa inne, ważniejsze pytanie: co można sądzić o tych „najlepszych towarzystwach,“ i „pierwszych w mieście salonach,“ jeśli do nich dostają się zawodowi szulerzy?

Kilka pism wystąpiło z żądaniem, ażeby kluby tutejsze wypłoszyły ze swoich siedzib owych „ptaszków niebieskich,“ oraz zaprzestały gier hazardownych, i przechwalają się już nawet tryumfem swojego wpływu. Pozwolę sobie całą tę agitacyę wraz z przechwałką włożyć między bajki. W społeczeństwie, w którem ludzie zabijają się przy zdobywaniu losów na loteryę, w którem tłumy rzucają ostatnie grosze w paszczę totalizatora, w którym pożyczka premiowa jest przedmiotem najwyższych marzeń oszczędzającego biedaka, w którem zebranie towarzyskie bez kart skleić się nie może, w którem ofiary lichwiarzów przegrywają podczas jednego wieczoru po kilka tysięcy rubli, w którem na hazardzie opiera się wychowanie dzieci, związki małżeńskie, przedsięwzięcia ekonomiczne, instytucye społeczne — trudno nożem papierowym wyciąć gangrenę. I zresztą tego rodzaju choroby nie leczą się żadną doraźną operacyą. Usuwają się one tylko przez hygienę moralną, przez odpowiednie kształcenie jednostek od dzieciństwa, przez wszczepianie w umysły poważnych pragnień, przez wskazywanie dążeniom wzniosłych celów, przez nadawanie uczuciom szlachetnych kierunków. Pozostawmy więc tych, co grają, ich namiętności i nie probujmy nawet ich krępować. Głęboka rana, zasklepiona z zewnątrz, nie goi się; ona musi zrastać się od dna, wytwarzać stopniowe granulacye, które ją wypełnią zdrowem ciałem. Ile razy więc widzimy szulerów, marnotrawców, próżniaków, zwracajmy się do młodych pokoleń i ubezpieczajmy je stosownymi środkami przeciw złym nałogom i występkom. Opowiadano mi, że gdy na zebraniu pewnego stowarzyszenia ktoś zaproponował usunięcie gry w karty, większość podniosła taki krzyk, jak gdyby ów bluźnierca zażądał od zgromadzonych w kościele usunięcia cudownego obrazu. Oburzonym członkom zdawało się, że Samson ujął kolumnę ich klubu, wstrząsnął nią i wkrótce całe sklepienie zwali na głowy obecnych, którzy zginą pod gruzami. Tych już żaden morał nie poprawi, ale ich dzieci mogą być ocalone od kultu dla kart. Nie znam dokładnie literatury dzieci i młodzieży, nie przypominam sobie jednak, ażebym w niej spotkał książeczkę, obrzydzającą małym czytelnikom gry hazardowne. A przecież jest to nałóg zbyt niebezpieczny i zbyt w społeczeństwie naszem rozpowszechniony, ażeby można było nie podcinać mu korzeni. Wiem, co na usprawiedliwienie jego rozwoju przytoczyć by się dało, wiem, że on najbujniej wyrasta na jałowym gruncie życia, na niezużytkowanych w dobrem namiętnościach, na bezczynnych siłach, na próżnujących uczuciach, ale to, co go tłómaczy, nie zmienia jego natury i działania, które są złe.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

AUTOMATYZM UMYSŁOWY*).

Mistycy tegocześni dali pobudkę do studyów nad objawami tak zwanego automatyzmu umysłowego. Uczeni europejscy, z wyjątkiem P. Janeta i paru innych odważniejszych, trzymają się ogłędnie zdala od wszelkich prób przeniknięcia mechanizmu faktów, które zawsze zawracały głowę mistykom. Takie

*) Appleton's *Popular Science Monthly*, Sierpień, 1896. W. R. Newbold *"Spirit" Writing and „Speaking with Tongues."*

zachowanie się wynika poniekąd z lekceważenia dziedzin ducha, których tajniki służą za przynętę dla pewnych umysłów: uprzedzeni, z góry już „wiedzą,“ iż wszystko jest tam niedorzecznością. Lecz jeszcze częściej działa inna przyczyna, mianowicie obawa skompromitowania swego nazwiska skutkiem pozornej nawet łączności z czcicielami deszczułki piszącej, zakrawająca niekiedy na najpospolitsze tchórzostwo. Dla mnie osobiście nie ulega przynajmniej żadnej wątpliwości, iż pogarda, jaką niejeden z pośród uczonych okazuje dla zjawisk, wyzyskiwanych przez łatwowierność mistyków, pochodzi aż nazbyt często z tego źródła. Anglia i zwłaszcza Stany Zjednoczone nie są tak filisterskie. Automatyzm działania umysłowego stał się tam przedmiotem bardzo poważnych poszukiwań: stoliki o trzech nóżkach i inne przyrządy, wyklęte przez szanujących siebie badaczów, są używane stale jako narzędzia wykrycia prawdy naukowej. W piśmiennictwie zamorskiem spotykamy ciągłe wzmianki o takich pracach. Nazwisko Jamesa, kierownika pracowni psychologicznej na wszechnicy harwardzkiej, i inne ręczą za ścisły, naukowy charakter poszukiwań.

Z pośród tych prac zatrzymamy się nad najświeższą, która wyszła z pod pióra prof. W. R. Newbolda, poświęcona rozbiorowi „pisma duchów.“ Korzystając zaś z okazyi, przedstawimy także wyniki studyów Jamesa nad „mówieniem językami.“ Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, z góry zaznaczamy, że obaj badacze rozpatrują przedmiot z punktu cerebracyi żywiołowej, tj. jako wyładowanie bezwiednych stanów duchowych.

Pismo automatyczne, czyli „duchów,“ polega na tem, że ktoś kładzie dłoń na deszczułce lub trzyma ołówek w ręku, która pisze „sama“ bez świadomego udziału piszącego. Objaw ten jest w pewnej mierze niezależny od woli: niejaka pani G., którą badał prof. Newbold, pisała tem lepiej, im jej uwaga była bardziej odwrócona od przedmiotu, gdy np. podówczas czytała coś głośno lub z kimś rozmawiała. Badaczowi amerykańskiemu chodziło głównie o wykrycie, o ile jaźń świadoma i jej oddziaływanie na czyny medyum ulegają zupełnemu zagłuszeniu podczas pisania automatycznego. Rozpoczął więc poszukiwania nad kimś z grona przyjaciół, o ile widać, dość zapalonym mistykiem. Ręką pana B. pisywały różne duchy, z których każdy usiłował robić to własnym charakterem. Medyum upierało się w początkach, że ręka jego jest niezdolna do narysowania liter, mających kształty, jakie wychodziły z pod ołówka podczas posiedzeń, lecz Newboldowi udało się zmusić go do naśladownictwa własnych zygzaków i otrzymania w stanie normalnym tak samo wyglądających ustępów. Piszący podczas tych doświadczeń był pod wrażeniem, że dokonywana czynność stanowi dla jego jaźni świadomej coś obcego.

„Chcąc pisać — powiada on — biorę pióro i kładę rękę na ćwiartce papieru. Po paru minutach czuję lekkie kłucia w ramieniu i palcach, poczem ręka drętwieje i następują rzuty konwulsyjne. Po paru zakrętasach pióro robi pewien znak, zwiastujący literę, która zjawia się na papierze wprzódy, zanim myśl o niej powstanie w moim umyśle. Po niej ukazuje się cały wyraz, później inne, stanowiące posłanie od pewnego ducha. Pisanie odbywa się naówczas bardzo prędko. Mam wrażenie, że odczytuję je jednocześnie z napisaniem, chociaż niekiedy odgaduję wyrazy przed ich rozpoczęciem. Często zdarza się, iż to odgadywanie jest mylne. Nieraz nie wiem, jak skończyć zdanie i rozpoczynam od początku. W innych przypadkach piszę bezustannie jakieś powiązane znaki, których nie umiem odcyfrować, aż wreszcie pojawia się wyraz taki, jaki majaczył w wyobraźni. Atoli nie ma w tem działania rozmyślnego. Ręka moja wprost wysnuwa z niewyraźnych zygzaków wyraz jakiś, w ten sposób urzeczywistniając moje oczekiwania. O tem dobitnie świadczy wzruszenie, które następuje podczas ukazywania się takiego wyrazu. Ręka rzuca się i zwija, przytłacza stół całym swoim ciężarem‘ łamie ołówek i wykazuje dowody jak najsilniejszego podrażnienia, ja zaś, jako widz, przyglądam się wszystkiemu z najchłodniejszą ciekawością sceptyka. Niekiedy wymyśla mi ona za mój sceptycyzm lub czyni wyrzuty za popełnione błędy w sposób mocno drażliwy. Często błaga mnie, na podstawie argumentów bardzo logicznych, o dokonanie pewnych rzeczy, których robić nie zamierzałem. Dwa razy napisałem małe utwory wierszem — z pewnem wahaniem. Nigdy tego nie robiłem, wiersze były bez związku.“

Tak brzmi własna opowieść piszącego. Newbold, który nigdy nie opuszczał pana B. podczas jego ćwiczeń, wprowadza pewne poprawki, przedstawiające rzecz całą w nieco odmiennem świetle i wyjaśniające poniekąd stosunek świadomości do działania automatycznego. Jest to charakterystycznem, iż ilekroć podczas posiedzeń zwracał on uwagę medyum na inny przedmiot, wtedy zamiast wyrazów wychodziły zygzaki bez najmniejszego sensu. Wszelka samosugestya działała silnie na pana B. Dość było, ażeby B. zastanowił się, dlaczego ołówek nie rysuje liter drukowanych, a natychmiast zaczynały pojawiać się na papierze takie kształty. Jeżeli zaś medyum, rysując je, przestawał darzyć treść pisma uwagą swoją, zgłoski przybierały formę osobliwą, cudacką — „nieznanych języków,“ które jednak piszący umiał zawsze przełożyć na angielszczyznę. Takie znaki — „alfabetu duchów“ — są dość częstem zjawiskiem wśród ćwiczeń mistyków, i niebawem poznamy ich uzupełnienie w dźwiękach „nieznanych języków.“ Profesor amerykański, na podstawie tych faktów, wnioskuje, że świadomość, przynajmniej w danym przypadku, wywiera wpływ pewien na działanie automatyczne, ujawniające się za pośrednictwem pisania. James, który zajmował się także badaniami nad przedstawionem zjawiskiem, spostrzegł jeszcze rzecz inną, mianowicie, że medyum cierpiące na nieczułość skóry, posiada w takich chwilach wrażliwość na podniety. Ktoś pisał w sposób automatyczny. Prof. James ukłuł piszącego parę razy szpilką w prawą rękę — najmniejszej oznaki czucia lub bólu. Robi potem to samo z lewą ręką, wolną. Osoba pisząca poczuła to i zadała pytanie co to znaczy. James zbywa ją pierwszą lepszą odpowiedzią. A tymczasem z pod ołówka wydobywa się zdanie, protestujące przeciw ukłuciu. Profesor harvardzki, niepewny jeszcze, czy ten ustęp nie dotyczył ukłucia lewej ręki, powtarza doświadczenie. Żadnego czucia, choć z pod ołówka wychodzi stanowcza zapowiedź, ażeby nie ważono się robić nadal takich żartów. Przykład ten świadczy, iż podczas pisania wrażliwość skóry osłabła, ale ból, nieświadomy dla jaźni, dawał znać o sobie ośrodkom działalności bezwiednej. Newbold wnioskuje z tych doświadczeń Jamesa, że coś podobnego może zdarzać się z histeryczkami, które odznaczając się zanikiem czucia w pewnych okolicach ciała, mogą jednak mieć ukrytą świadomość o podniecie.

Studya Jamesa nad mową automatyczną dały wyniki bardziej interesujące. Po raz pierwszy zbadano istotę „zstąpienia języków.“

Okazem badanym był pewien powieściopisarz i poeta amerykański, który dostawszy się pomiędzy mistyków, powoli uległ ich wpływowi do tego stopnia, iż stał się jednym z proroków kółka. Któryś z faraonów Egiptu przemawiał przez jego usta. Między innemi zaczął on mówić językami, które schodziły na niego nieoczekiwanie. Uwierzył wreszcie, że tam „w głębiach i kryjówkach jego wiele doświadczonej jaźni muszą kołatać się dźwięki zapomnianych języków.“ Idea, poddawana przez otoczenie, nie omieszkała niebawem wywrzeć odpowiednich skutków: razu jednego z gardła jego — „z brzucha,“ jak sam powiada — wydobyły się głośne, ostre tony. Niekiedy zdawało mu się, jakoby „całą niegodziwość miasta zawarł w jednym takim wyrazie!“ „Doznawał on wyładowywania jakichś dźwięków obcych, nieznanych, przyczem na razie nie rozumiał znaczenia wyrazów,“ co mu nie przeszkadzało potem podawać ich przekładu w sposób tak samo żywiołowy. Jeden z ustępów nieznanej mowy przytaczamy, jako bardzo charakterystyczny:

„Szurumo te mote Cimbale. Ilunu teme tele telunu. Onstomo te ongorolo. Sinkete ontomo. Isa bulu, bulu, bulu. Ecemete compo tete. Ola mete compo. Lete me lu. Sine mete compote. Este muto, pute. Ompe rete keta. Onsc!ing eme ombo lu mu. Uteme mo, mo, mo. Ebedebede tinketo. Imbe, Imbe, Imbe!“

Z pozoru jest to dobór niedorzeczny dźwięków, atoli w ręku zręcznego analityka mogą one doprowadzić do bardzo ciekawych wniosków. W przytoczonym ustępie uderza nas przedewszystkiem prostota zgłosek i jeszcze bardziej kolejność tych samych samogłosek, przypominająca „harmonię,“ panującą w językach altajofińskich. Nie ulega wątpliwości, że studya nad podobnemi dziwactwami byłyby bardzo wdzięczne, bo wykryłyby tajniki automatyzmu organów mowy, sprawiającego asymilacyę pewnych dźwięków, następstwo pewnych głosek i podwajanie innych. Harmonia wiersza rymowanego pochodzi właśnie z tego źródła, i tam, gdzie zaczyna przeważać nad powiązaniem treści, jak u symbolistów, może doprowadzić do pewnego układu dźwięków, przypominającego wyładowania żywiołowe. W mowie normalnej myśl przywodzi i nagina narzędzia mówne do spuścizny, pozostawionej po okresach ubiegłych. Dążenia automatyczne ujawniają się tylko przypadkowo, zwłaszcza dla wyrazów cudzoziemskich lub własnych. W ten sposób w pieśniach ludu naszego „we Lwowie“ zamieniło się na „w Elbowie.“ Jeszcze wyraźniej tendencya ta uwydatnia się w strofkach dźwiękowych, towarzyszących np. śpiewce o „babuleńce rodu wysokiego,“ która miała kozła bardzo upartego. Studya nad takiemi „nieznanemi“ językami może także przelałyby pewne światło na rodowody mowy naszej, bo pierwsze ćwiczenia gardła, z których z biegiem czasu powstał język członkowany, musiały przedstawiać poniekąd takie same okrzyki automatyczne.

Zpośród innych proroctw, wygłoszonych już po angielsku, przytoczymy w polskim przekładzie pewien ustęp, który zresztą dużo utracił na przetłómaczeniu, bo potoczystość swoją i muzykalność, w takich zaś objawach te przymioty zajmują bardzo ważne stanowisko, jako działające najbardziej na otoczenie. Podany kawałek mocno przypomina styl przedstawicieli nowszych kierunków poetyckich, zwłaszcza zaś najpotężniejszego poety „stanów bezwiednych i niejasnych instynktów duszy,“ Maeterlincka. Sądzę, że studya porównawcze takiego rodzaju rzuciłyby bardzo ciekawe światło na całą psychikę twórcy *Ślepców*. Naturalnie, tem powiedzeniem bynajmniej nie chcę wtorować panu T. J. Choińskiemu, uważającemu, za przykładem swojego oryginału, M. Nordau'a, Maeterlincka, za idyotę, bo w poezyach Belgijczyka mamy do czynienia bezwarunkowo z jednym z najoryginalniejszych talentów, którego nazwisko pozostanie,

gdy już pamięć o Nordau'ie wywietrzeje zupełnie.

„Słyszałem skargę umierającego i skargę chorego mężczyzny, którego serce pękło. Słyszałem głos radości i słyszałem głos bolu. Słyszałem głos tego, który jest ciemnością, i słyszałem głos tego, który jest światłem. Słyszałem szum oceanu i słyszałem śpiew ptaszka. Słyszałem łzy ludów upadających i słyszałem hymny narodów rodzących się."

I tutaj wyrazy powtarzają się monotonnie, obrazy kojarzą się często w sposób niezbyt naturalny. Sprzeczność jest tam zasadą, — od radości myśl przeskakuje do bolu, od ciemności do światła. Ale właśnie taka jednostajność musiała działać silnie na umysły egzaltowane. Melodyjne, z podwyższeniem i spadkiem akcentu, wyrazy łechtały zmysł słuchu, jaskrawo dobrane przenośnie ogłuszały wyobraźnię, a powtarzanie głosem podniesionym tych samych dźwięków: „słyszałem!" przyczyniały się jedynie do wzmożenia czaru proroka. Zaznaczmy, że tym samym kolorytem odznaczają się utwory mistrzów symbolizmu. Działać one winny przedewszystkiem na emocyę, wywoływać podniecenie i zniechęcenie, uczucie radosne lub nudy. Krytykować je trzeba nie ze stanowiska powiązania treści, ale wywoływanego wrażenia uczuciowego. Polegając na symbolice dźwięku i harmonii, na barwności zestawień akcentu muzykalnego, tj. na naturze użytego materyału, twory tego kierunku przedstawiają płód najbardziej narodowy twórczości — w tem znaczeniu, iż przekład pozbawia je wszelkiej wartości i z dzieła niekiedy artystycznego zamienia na najpospolitszy stek sprzeczności i pomysłów cudackich.

Na tem zakończymy nasz artykuł. Nie chodziło nam w nim o przedstawienie tajników automatyzmu intelektualnego, ale głównie o zaznaczenie doniosłości, jaką mogą mieć takie studya dla innych zakresów nauki.

J. W.

LITERATURA I SZTUKA.

William Morris.

II.

Główne miejsce w części czwartej zajmują dwie opowieści z czasów, gdy pogańskie tradycye mieszały się z chrześciańskiemi: „The Ring given to Venus" i „The Hill of Venus." W pierwszej pewien młodzieniec z Rzymu kładzie swój pierścień na palec Wenery, pierścień znika i tylko za pomocą czarnoksięstwa zdobywa go napowrót nie od posągu, lecz od Wenery samej. Autor zbiera cały Olimp, któremu przewodniczy dyabeł średniowieczny. Wszystko to opowiedziane z pełnią wiary i przekonania. Druga jest historyą Tannhäusera: gdy Walter ucieka z groty Wenery i szuka w Rzymie pokuty i odpuszczenia grzechów u stóp papieża — między nim i zbawieniem staje bogini, zmazując wizerunki świętych i Madonny. Walter wraca do groty. Wogóle „Earthly Paradise" jest zbiorem mitów, tradycyj i legend indo-europejskich, oddanych z realizmem, z prawdą ludzką i psychologiczną, z muzykalnością rytmu i pięknem niezrównanem języka. Autor nie jest psychologiem z powołania, ale jego mężczyźni i kobiety są realnymi ludźmi, kochają z namiętnością dorosłych i zdrowych osób, a nie z różowym sentymentalizmem chłopców i dziewcząt. Wraz z ostatnią częścią „Raju" wyszło cenne dzieło Morrisa „The Life and Death of Jason," w którem znakomicie odtwarza ducha poezyi greckiej. Poemat odbywa się na wolnem powietrzu, z pełnem, świeżem, rozkosznem odczuciem natury, zdrowia i piękna. W bezpośredniem zetknięciu z przyrodą poeta się czuje najszczęśliwszym. Kocha namiętnie żywioły we wszystkich formach i objawach — żaden ich rys nie uniknął jego uwagi. Jego jeziora, obloki, góry—to nie studya z drugiej ręki, lecz rezultaty bezpośredniej styczności, to natura w całej swej świeżej i surowej prawdzie. Zwłaszcza opis burzy w „Jaronie" świadczy, iż poeta nieraz miał do czynienia z rozhukanymi żywiołami. Cały przedmiot traktowany jest w tonie pogodnym, z lekka reflektywnym. Autor pozostaje tu wierny tradycyom. Tylko w pojęciu Medei znajdujemy pewną dowolność: z surowej i okrutnej królowej uczynił dziewczę czułe, o silnym charakterze. Uwalnia ją także od zabójstwa brata, Absyrtusa, i dlatego później, gdy Jazon ją porzuca, ona budzi tylko litość. Morris zmienił również koniec: gdy obrażona królowa dokonywa swej zemsty i ucieka, poeta nie każe wraz z tradycyą umrzeć wnet potem Jazonowi, lecz wskrzesza w jego sercu starą miłość ku Medei i potem dopiero zadaje mu śmierć. We wszystkich tych pracach Morris pozostawał oddalony od życia i nazywał samego siebie „a dreamer of dreams born out of his due time." Ale tu następuje przełom w jego myśli.

W trzy lata potem zjawia się następne dzieło Morrisa „Love is enough" (1872), gdzie obok religii piękna znajdujemy nowy czynnik, religię miłości—i w tem wierzeniu wytrwał do końca życia. Na miłości trzeba oprzeć szczęście osobiste i ogólne. Tylko braterstwo może zbawić ludzkość. W poprzednich dziełach, zwłaszcza w „Raju Ziemskim," czuć było pewne zniechęcenie. Możnaby sądzić, iż to pisze człowiek znużony, rozczarowany, który w estetyce szuka ucieczki od brutalności życia i skłania się ku jakiemuś pesymizmowi beznadziejnemu. Ale zdrowa natura poety wzięła swoje, życie samo odkrywa mu nowe czary, mianowicie w pracy dla bliźnich. W niej znalazł ujście dla wewnętrznego niezadowolenia, które powoli się rozwiewa i zanika. Następuje okres zupełnej pogody, zlekka tylko przyćmionej melancholią, ale to raczej wspomnienia. Dodajmy, iż autor starannie zakrywał swe starcia wewnętrzne i o ich istnieniu tylko wnosić możemy z ogólnego nastroju dzieł. W pracy społecznej znajduje trwały punkt oparcia, nowa wiara zastępuje pesymizm lat młodzieńczych, wprowadza w duszę jego spokój, a w myśli zupełną jasność. Od tego czasu dokładnie wie, czego chce, ma przed sobą cel realny, który za życia jednostki urzeczywistniony być nie może i który pochłania całą jego energię. Nowa filozofia Morrisa, o której mówiliśmy kiedyś z powodu „News from Nowhere" (Wieści z Nikąd), wypracowana została pod oczywistym wpływem Ruskina. Jest to rozkoszne marzycielstwo w wielkim stylu. Związek społeczny nie powinien się opierać na wymianie usług. Podstawa utylitarna powinna być zamieniona na inną, estetyczną. Potrzeby zmysłowe, grube uproszczone będą i sprowadzone do nieznacznych rozmiarów, natomiast potrzeby wyższe, zbytkowne zajmą pierwsze miejsce. Minimum pracy utylitarnej i maksimum — estetycznej taki jest ideał prawdziwie ludzki. Maszyny zastąpią pracę i czas wolny poświęcony będzie nauce, potrzebie tworzenia, tworzenia nie dla zysku, nie dla pożytku, lecz dla zaspokojenia namiętności twórczej. Stosunek obecny producenta do spożywcy zamieni się na inny — artysty do znawcy. Ludzie starać się będą nie o to, aby być pożytecznymi jedni drugim wymianą zasług, lecz o to, aby oczarowywać się wzajemnie. Miasta będą wielkiemi ogniskami smaku i stylu, salonami, muzeami zatopionemi w potokach zieleni, pośród wód szemrzących, o pałacach odległych od siebie i połączonych ścianami płaskorzeźb cudownych, nieśmiertelnych fantazyj, wyłonionych przez pokolenia całe błędnych artystów. Czyż to wszystko ma cokolwiek wspólnego z tą zmorą koszarową lub klasztorną, którą niektórzy straszą dorosłe dzieci? Nie trzeba jednak się łudzić — urzeczywistnienie wszystkich tych marzeń wymagałoby gruntownego przekształcenia natury ludzkiej, aby uwielbianie zajęło miejsce zawiści, sympatya — złości. Miłość jest słońcem centralnem, które wszystko w ruch wprawia. Wszystkie inne uczucia powoli zatracą swą moc. Zamiast przywiązania do kraju, będzie przywiązanie do wszystkiego, co wielkie i piękne w naturze i historyi, co najdalej przywiązanie do groty, w której się urodziliśmy. Dzieci rosnąć będą w lasach, jak Cyganięta lub dzikie jelonki.

Ta rozkoszna filozofia nie jest pozbawiona pewnych odcieni smutku — ślad epoki „Raju Ziemskiego" — ale czyż piękno bez smutku jest wogóle możliwe? Inni marzyciele przyszłości mieli nieostrożność zupełnego wypuszczenia tego czynnika i stali się trywialnymi. Sprawia to zarazem, iż sny Morrisa odrazu rozpoznać można, również jak i wpływ jego na naśladowców.

Pod względem piękna pozostał tymczasem wierny zamiłowaniom młodzieńczym ku wiekom średnim. W 1877 roku zjawia się „The Story of Sigurd the Volsung and the Fall of the Nieblungs," gdzie w stylu prostym, pełnym wdzięku, ale już bez zawikłań opowiada stare legendy, a w kilka lat potem tłómaczenie sag północnych dokonane wraz z Magnusonem*).

Poeta lubił uciekać od banalności otoczenia w czasy odległe. Z tych sag dobywają się płomienie namiętności, których wszystkie wzgórza lodowe tej krainy lodów nie przyćmiły swym ponurym cieniem i których wszystkie siwe i zimne jeziora, otaczające wyspę Thule, nie omyły z ich ognia i barwy.

Można sobie łatwo wyobrazić, jakiej rozkoszy ta praca dostarczała poecie i z jakim talentem on oddawał wszystkie te sagi i śpiewy Eddaiczne. Czuł się w swym żywiole śród tych bohaterów, Grettirów, Gunnlaugów, Sigurdów i innych.

Jako tłómacz „Eneidy" i „Odyssei" zdobył uznanie powszechne. Morris dosięgnął tu najwyższego stopnia doskonałości, jaka w tego rodzaju pracy zdobytą być może. Oddaje słowo w słowo oryginały i zachowuje jednocześnie całe ich piękno. „Tłómaczenie to — powiada jeden z krytyków — jest napewno lepsze, niż Drydena, tak wszakże dobre... Morris nieustannie śledził za tekstem poety łacińskiego, nie pozwalając sobie żadnej dowolności, gdy tymczasem Dryden wielokrotnie zadowolił się wskazaniem ogólnego znaczenia wyrażeń, nie odtwarzając szczegółów." O tłómaczeniu „Odyssei" inny krytyk powiada: „Nigdy jeszcze wysiłek literacki nie był uwieńczony rezultatem bardziej wspaniałym. Niema ani jednego ustępu dzieła, w którem nie możnaby odnaleźć maniery poety greckiego; bohaterowie Homera mają w tłómaczeniu Morrisa prostotę mowy równą oryginałowi. Zrobić lepiej byłoby niemożliwością."

Wszystko to jednak wydaje nam się niżej wartości wewnętrznej Morrisa. Z natury swej wszechstronnej był geniuszem, również jak Ruskin i Rossetti, z którymi wskrzeszał tradycye pre-rafaelizmu, ale czas i otoczenie nie pozwoliły mu się rozwinąć należycie. Gdybyśmy się byli urodzili za burzliwych czasów, podobnych do Renaissance'u, mielibyśmy rozkwit

*) The saga Library, t. 4. Londyn, 1891.

sztuki nowej, otwierającej nieznane widnokręgi. W otoczeniu spokojnej demokracyi i pod jej naciskiem, ich osobowość została nadwątlona. Widząc wokoło te domy, które są jak mrowiska, te romanse, które są tylko odbiciem otaczającej płytkości, zwrócili się wzrokiem ku czasom przeszłym, średniowiecznym i tu odtwarzali, Skrępowana ich indywidualność nie mogła znaleźć drogi nowej. Że tu działały przyczyny społeczne, najlepiej można się o tem przekonać z rezultatów całego ruchu: rozpocząwszy od sztuki w wielkim stylu, Morris skończył na drobnostkach, na zastosowaniu sztuki do przemysłu. Wskrzeszona przeszłość nie była tematem dość żywotnym, aby mogła pochłonąć ostatecznie i bezpowrotnie siły takiego człowieka. A cywilizacya wywarła i na niego wpływ nieunikniony. Rozwój społeczny daleko posunięty tłumi intuicyę i siłę twórczą. Poczucie piękna wielkiego powoli się zatraca z rozczulającą naiwnością. Smak zaczyna się lubować nie w wielkich dziełach, lecz w ciekawych błahostkach, w bogatych obiciach i rozkosznych meblach. Z wiarą w ideał w sztuce odbywa się toż samo, co i każdą inną: powoli, nieświadomie, niepostrzeżenie jest ona porzucana, pod wpływem wieku, logiki, doświadczenia. Zapewniając siebie i innych o swych zachwytach dla wzniosłych tworów geniusza, artyści stają się pomału rozkosznisiami, sybarytami, hołdującymi dobrym i łatwym bóstwom. Napełniają domy bogaczów ładnemi błahostkami, bogatemi kobiercami i ciężkiemi zasłonami. Na kominkach stawiają brzuchate bożki chińskie lub pagody indyjskie, na stolikach umieszczają bronzy, heban, kość słoniową misternie rzeźbioną, rzadkie porcelany, na ścianach zawieszają Woowermansów i Teniersów, w przepysznych oprawach, które i dla książek zaczynają grać rolę pierwszorzędną. Taki jest zwykle los sztuki w cywilizacyach wyrafinowanych, tak się stało i tutaj. Od heroicznych tematów malarze i poeci prerafaelizmu przeszli powoli do tkanin o kolorach zwiędłych, do drukowania książek według mody XV w., używając sposobów wcześniejszych od sztuki drukarskiej, do wytwarzania kosztownych bibelotów dla bogatej burżuazyi. Mamiono się z początku najpiękniejszymi pozorami. Już w r. 1863 Morris oddał się wraz z kilkoma przyjaciółmi sprawie „rozpowszechnienia sztuki i poczucia piękna śród mas.“ Najłatwiej można było dopiąć tego celu w dziedzinie zastosowań sztuki do przemysłu. Utworzono w tym celu związek, do którego należeli. Burne Jones, Walter Crane, Lewis E Day, Reginald Blomfield, William R. Lethaby i inni. Mieli oni wszyscy wspólną doktrynę, którą koniecznie chcieli wprowadzić w czyn. Ich to wysiłkom zawdzięczyć należy, iż sztuka dekoracyjna ma w Anglii styl odrębny. W tej dziedzinie, jak i w większych dziełach chcieli powrócić do tradycyj średniowiecznych u ich źródeł najczystszych. Rozpowszechniając swe teorye słowem i piórem, otworzyli jednocześnie zakład obić, mebli artystycznych, szyb kolorowych i ozdób, wykonanych w stylu archaicznym. Morris przyjmował udział czynny w wykonaniu praktycznem wszystkich prac, a w r. 1878 wydał dzieło p. t. „The Decorative Arts,“ gdzie wykłada warunki artystyczne różnych gałęzi przemysłu, jak tapicerya, znaczenie, oprawa książek itd., a w r. 1882 inne p. t. „Hopes and Fears for Art“: tu zajmuje się stroną społeczną sztuki dekoracyjnej. „Nie chcę— powiada — sztuki dla kilku wybranych, ani wychowania, ani wolności dla niewielu. Nie, raczej niż widzieć sztukę żyjącą dla uciechy uprzywilejowanych, gardzących tymi, co są poniżej, za niewiadomość i brak smaku, za które nie są odpowiedzialni, wolałbym, aby świat zmiótł na pewien czas wszelką sztukę; raczej niż widzieć, jak chleb gnije w stodołach bez pożytku, wolałbym, aby był w ziemi, gdzie posiadałbym przynajmniej nadzieję rozwoju w mrokach“(?). Zarazem wymaga koniecznie, aby sztuka miała charakter społeczny. „Żadna rzecz nie może być dziełem sztuki — powiada — jeżeli nie jest użyteczną, albo jeżeli nie dostarcza umysłowi, w warunkach zdrowych, rozrywki, spokoju lub podniosłości. Jest rzeczą pierwszej wagi, aby ozdoby w naszych domach odpowiadały nie potrzebom parady i ostentacyi (jak to się obecnie dzieje), lecz — zadowolenia zmysłów i rozkoszy intelektualnych.“

Niestety, nawoływania Morrisa pozostały nawoływaniami, prace artystyczne jego zakładu rozkupywane były przez bogaczów i najczystszym rezultatem całego ruchu było — przez dziwną ironię losu, która wszelki humanitaryzm naszych czasów stawia w fałszywem oświetleniu — zbogacenie samego Morrisa. Zakład, zwiększony znacznie, przeniesiono niedawno z Londynu do Merton Abbey (Surrey). Wprawdzie pewien wpływ na rozwój smaku w masach od całego tego ruchu musiał pozostać, zwłaszcza iż założono za inicyatywą Morrisa w Londynie stowarzyszenie „Art and Crafts Society,“ organizujące wystawy peryodyczne utworów sztuki dekoracyjnej. Nareszcie poeta zajął się przemysłem książkowym i dokonał w nim cudów prawdziwych. Założył drukarnię i fabrykę papieru, pracującą tylko dla jego wydawnictw, a ponieważ w tej sprawie, jak i we wszystkich innych dążył wciąż do doskonałości, więc „Kelmscott Press“ uważana jest obecnie za pierwszą drukarnię w świecie. Papier, używany przez nią, kosztuje blizko dziesięć razy więcej, niż zwykły i nosi w filigranie markę M. W. jabłko lub kwiat. Czcionki są specyalnie odlewane według wzorów archaicznych, maszyny przedstawiają szczyt doskonałości technicznej, a drukarze są raczej artystami, niż robotnikami. Wkrótce ma wyjść wydanie Chaucera o literach archaicznych, czerwonych i czarnych, z 80 drzeworytami Burne Jones'a. Cena każdego egzemplarza wynosi 20 f. st. (500 fr.); wydanie całe posiadać będzie 425 egz., które już znalazły nabywców. Morris sam obliczał, iż zarobi na tem około 40,000 fr. w ciągu niespełna dwóch lat.

Dodajmy, iż znaczna część tych zarobków szła na sprawy biedaków, autor przyjmował udział czynny w polityce społecznej i wydawał pismo ludowe „The Commonweal.“ Sprawie społecznej poświęcił cały szereg ostatnich swych pism. „Signs of Change“ (1886) i in.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Walerya Marrené: *Historya zwyczajnego człowieka*, spisana z opowiadania emeryta. Warszawa, S. Lewental, 1896, str. 274.

W świeżo wydanem tłómaczeniu słynnego dzieła Taine'a: „Filozofia sztuki“ (przełożył, przypiskami i skorowidzem opatrzył Antoni Sygietyński), znajdujemy na str. 17 wyśmienite (lubo dziś już przez ciągłe przytaczanie zużyte) porównanie, popierające stary pewnik estetyczny, że artyzm nie polega na bezwarunkowo dokładnem naśladowaniu natury. „Mamy w Louvrze — powiada Taine — obraz Dennera. Denner pracował przy pomocy lupy i potrzebował czterech lat na zrobienie portretu; niczego nie zapomniał w swoich twarzach, ani karbów skóry, ani prążków niedostrzeżonych na policzkach, ani czarnych punktów rozrzuconych na nosie, ani przezierających niebieskawo żyłek mikroskopijnych, wijących się pod naskórkiem, ani przebłysków oka, w których się malują przedmioty najbliższe. Ogarnia nas zdumienie: głowa jest łudząco prawdziwą, zdaje się, że wychodzi z ram; nigdy nikomu lepiej się nie udało i trudno o większą cierpliwość. Lecz koniec końcem szeroki szkic Van-Dycka jest sto razy potężniejszy...“ Pod wpływem tego to zapewne taine'owskiego pewnika zdobyłem się był przed 12 laty na uszczypliwy koncept względem takiego nawet mistrza, jak ukochany T. T. Jeż. Rozbierając trzeci tom jego powieści „Z burzliwej chwili,“ w której mowa o jakiejś za długiej podróży, powiedziałem, że „w romansie jazda nie powinaby wlec się i trwać tyle, ile się wlec zwykła w rzeczywistości, gdy jeszcze kolei żelaznych nie było.“

Miałżebym dziś być mniej, niż dla Jeża, surowym dla pani Waleryi Marrené i jej „Historyi zwyczajnego człowieka“?.. Historya ta nie jest wprawdzie długą, żmudną: odczytać ją można z przyjemnością w ciągu jednej wycieczki z Warszawy do Nura i Grannego nad Bugiem. Przytem, zgodnie z tytułem, skreśloną w niej została autobiografia rzetelnie „zwyczajnego“ śmiertelnika. Ale czy nie odzownie żywot zwyczajny ma być zwyczajnie też opisany?

Syn starego urzędnika, sam także urzędnik dawniejszej już daty, emeryt, warszawianin od kolebki do późnej starości, opowiada nam, z przypomnień swej młodości, jak to dawniej bywało. Naturalnie, bywało „różnie,“ ale na ogół — stokroć lepiej. Ulica Leszno wyglądała wspaniale wobec nieistniejącej jeszcze w obecnym swym przepychu Marszałkowskiej; na rogu ulicy Rymarskiej miałeś cukiernię Jawena, w której ciastka sprzedawanoby za dni naszych po dukacie na Krakowskiem Przedmieściu. Obywatele dzielnicy stanowili niemal jedną rodzinę, a spotykali się wszyscy w kościele karmelickim na mszy św., bo wówczas nie wyszukiwano modnych nabożeństw, ani eleganckich wyperfumowanych kaznodziejów, nie dobierano godzin dogodnych i nie trzeba było obawiać się tłoku. Przejażdżka do Łazienek uchodziła za wypadek niemal taki, jak dziś podróż do Karolowych Cieplic lub do Połągi, gdyż o ulicach Żórawiej, Kruczej, Hożej, Pięknej nikt nie słyszał, a o Nowogrodzkiej mówiono, że jest „za miastem.“ Żeby otrzymać posadę urzędową z pensyą roczną dwustu rubli, które starczyły w tamte lata za tegoczesne dwa tysiące — nie potrzeba było wielkiej mądrości: skończyło się czasem sześć klas gimnazyalnych, czasem tylko cztery, czasem mniej, jak było można, i szło się na rok, na dwa, na aplikacyę bezpłatną, awansując stopniowo, bez wzajemnego spychania się, pomaleńku. Przedpokojów w mieszkaniach nie wydzielano, dzwonków nie znano, o meldowaniu gości nie miano wyobrażenia, gość wchodził przez kuchnię, od której drzwi całe lato stały naoścież otwarte, a w czasie mrozów zamykały się tylko na klamkę. Odwiedzającego przyjmowano zawsze z rozpostartemi na krzyż ramionami i stosownie do temperatury lub godności zdziewano z niego burkę lub płaszcz bądź w kuchni, bądź w pokoju stołowym, który zarazem służył za sypialnię dla drobniejszej dziatwy. Salon różnił się od jadalni jesionową kanapą, firankami w oknach i froterowaną podłogą. Na przyjęcia nie rujnowano się wcale. Gdy kto przyszedł, postawiono parę szklanek więcej, przyniesiono więcej bułeczek albo obwarzanków, które chłopcy wówczas pod różnemi nazwiskami po Warszawie obnosili — i po takiej uczcie już po 10-ej wszyscy się rozchodzili na spoczynek nocny.

Co do obyczajów. . Rzeknijmy wpierw słówko o charakterach. Nie były one by-

najmniej tak proste, jakby to z okoliczności wypadało. Pod tym względem sądziłbym, że zachodzi tu jedno z dwojga: albo teorya środowisk Taine'a nie jest ściśle prawdziwą w zastosowaniu do naszego społeczeństwa w przed laty pięćdziesięciu, albo też powieściopisarka wstawiła w otoczenie dawniejsze kilka postaci świeższego autoramentu. Szczególnie stosuje się to do jej dziewcząt, których dusze i portrety, malowane niekiedy po denncrowsku, zdają się być w odniesieniu do chronologii duszami i portretami ich córek, a może i wnuczek. Spojrzmy na tę Józię... „Była tak niezmiernie żywa, iż nie wiem, czyby ją pochwycić zdołal dzisiejszy rewolwerowy aparat fotograficzny. Cała jej drobna postać była w ciągłym ruchu, migały tylko przed okiem jej okrągłe rączki, mikroskopijne nóżki i źrenice błękitne pełne śmiechu, pełne swawoli, które niekiedy zachodziły chmurą i zamiast iskier miotały błyskawice. Każda cząstka tej postaci zdawała się poruszać, drgać, wirować na swój odrębny sposób. Drgały śmiechem różowe usteczka, a wkoło nich po bródce, po rumianych policzkach tworzyło się mnóstwo doleczków kapryśnych, figlarnych, ucieszuych, a tak ślicznych, iż każdy z osobna chciało się pochwycić i utrwalić, aliści już występowały inne jeszcze śliczniejsze. W harmonii z tym nieustannym ruchem postaci, sukienka, fartuszek, nawet trzewiczki układały się w niemożliwy sposób. Najdziwaczniej przecież układały się włosy. Barwa ich nawet była zmienna i niepochwytna. Czasem, gdy każdy włosek szedł w swoją stronę i kręcił się, całość tworzyła około drobnej twarzyczki fantastyczną koronę z płynnego złota, promienie słońca nadawały jej miedziane odblyski; w cieniu znów włosy te przybierały barwę popiołu, przez który gdzieniegdzie żar niedogasły przeglądał... Robiła ze wszystkimi, co tylko chciała. Jak naparła się być w teatrze, to być musiała. Teatr robił na niej niezmierne wrażenie; urządzała go w domu, ustawiała scenę z rozmaitych sprzętów: śpiewała, tańczyła, śmiała się, płakała, mdlała, rzucała się na kolana, recytowała wyznania miłosne..." Że jest to wizerunek wytwornie zrobiony, nie przeczę, ale czy z tamtoczesnych wzorów zdjęty i przez emeryta — o tem bardzo wątpię, wątpliwość zaś tę rozciągam w części może i na Franciszka, przyjaciela opowiadającego, oraz na jego siostrę Frydę, typowo z ideologii niemieckiej wyciosaną parkę, a jeszcze więcej na Helenkę, przedmiot młodocianych uwielbień i zapałów naszego emeryta. Córka prezesostwa, bardzo wcześnie reprezentującego u nas pokolenie arystokracyi urzędniczej, doszczętnie już dziś zbankrutowanej lub niedolą ze szranków życia wypartej, była ona ową mieszaniną pedagogiczną, która — przypuszczać należało — niedawno dopiero zjawiła się na polskim gruncie. Panna Helena posiadała w swym pokoju całą menażeryę, całymi dniami pieściła papugę, całowała kanarki, trzymała wiecznie na ręku kota — a jednocześnie „przyglądając się rybkom w akwaryum całe godziny, grała, rysowała, czytała i miała mnóstwo nauczycieli." Emeryt we wspomnieniach swych podejrzewa nawet, że w oszklonej jej szafie z mnóstwem książek i narzędzi dziwacznych, znajdował się i mikroskop!.. Moralność, obyczajność, postępowanie — będą również złożone, niezbyt szczelnie przystające do zaznaczonej powyżej skromności i patryarchalności warunków zewnętrznych. Etykę tę mamy w zwięzłej scenie, podobnej jak dwie krople wody do epilogów, zamykających mnóstwo dziś kursujących, współczesnych romansów.

Emeryt wystosował był właśnie, za poradą przyjaciela Franciszka, płomienny liścik do Helci. W parę dni później wpada do niego Franek strasznie zafrasowany. — „Wiesz? — woła — panna Helena uciekła ze śpiewakiem..." Ma się rozumieć, nasz „człowiek zwyczajny" skamieniał na tę wiadomość. A Franek dalej-że mu opowiadać półgłosem szczegóły tej banalnej tragi-komedyi. — „I cóż w domu?" pyta wielbiciel. — „A cóż, nic. Wieczorem pan prezes pojedzie do resursy, pani prezesowa będzie piła herbatę z doktorem. *Zakochani* pojechali podobno gdzieś na wieś, czy za granicę. Ślub wezmą... później, rodzice dadzą się złatwością przeprosić. Kto wie, może i radzi są z tego wszystkiego, że im z głowy kłopot spadnie..." Dla uzupełnienia świeżutkiego tego skandaliku, wyjętego jak gdyby ze wczorajszego *Kuryerka*, dodać tylko jeszcze należy nieodbity i niezmienny atut wszelkiej tego rodzaju gry bakałarsko-fortepianowej lub wokalnej: uwodziciel był podtatusiałym wygą, — jego „łyse czoło przykryte było peruką, świecące wąsy miał uczernione, pierś podwatowaną... Zresztą, cała Warszawa znała tego starca, udającego młodzika, tę marną, śmieszną, nikczemną osobistość, o której cały świat opowiadał awanturnicze anegdoty."

Złożone z mnóstwa drobnych postrzeżeń, wzorków i fotograficznie zdjętych kartek albumowych, opowiadanie stanowi lekturę lekką, barwną, zajmującą; ale gdybym był jego autorem, gdybym miał talent i pisarskie doświadczenie pani Waleryi Marrené, uczułbym choć raz może w życiu, po odczytaniu swego utworu, żal mickiewiczowski. Żałowałbym zapewne, jak twórca „Pana Tadeusza" po napisaniu arcydzieła, że nie jest ono, w powiązaniu obrazków tych luźnych, choć o pół tonu wyższe. Ale, stawiając zarzut komu innemu, nie sobie, dokładnie spostrzegam, że mógłbym się narazić... niemal na śmieszność. Realizm, przykryty formą autobiograficzną, pamiętnikarską, jest niedościgłym dla pocisków krytyki. Z którejkolwiekbyś strony go napadł — wymknie się zawsze podziemną norką swej zasady głównej, swojego postulatu: że przecież to, a nie co innego opowiadała o sobie taka to, a taka jednostka — emeryt w danym wypadku. Albożmogę wleźć w skórę emeryta; albożmogę sprawdzić ponownie to wszystko, co on pewnego razu, kiedyś, w nastroju specyficznym i w położeniu wyjątkowem widział, czuł, myślał, gadał i robił?..

Co najwyżej zdolny jestem sprawdzić topografię miejsc — jeżeli one są wymienione w książce i dla mnie dostępne. A to ostatnie nie zawsze jest tak łatwe, jakby się na pierwszy rzut oka przedstawiało. Weźmy np. prześliczny ten oto pejzażyk: „Kocham Warszawę! i niech mówią, co chcą, choć znam Paryż i Wiedeń i muszę oddać im sprawiedliwość, to jednak, kiedy stanę na placu Zamkowym, spojrzę przed siebie na szare fale Wisły, na most, Pragę, Saską Kępę — na lewo: na wieże, wieżyczki, ostre szczyty Starego Miasta — na prawo: na tę wspaniałą ulicę, ciągnącą się od Bernardynów do Ujazdowskich Alei, a ginącą w dalekiej perspektywie: to mi się zdaje, że piękniejszego nic ma nic na świecie." Zgoda, najzupełniejsza zgoda. Ale wyznać muszę, że naprożno kilka dni temu stawałem przynajmniej na stu rozmaitych miejscach placu Zamkowego, ażeby punktualnie powtórzyć w sobie przytoczoną panoramę emeryta. Obracałem się w lewo, w prawo, na jedną, na drugą stronę, przysiadałem niżej, wyżej, postępowałem przed siebie, po za siebie, wprost, na krzyż, — ale tej samej całości, w tem samem ugrupowaniu, na pewien jeden moment, odnaleźć nie zdołałem. Gdy były wieżyczki ostre— nie było płaskiego mostu, gdy most znowu się zjawiał — znikało Stare Miasto, gdy szara Wisła się odsłoniła, zapadała pod ziemię błękitna perspektywa Ujazdowska. W końcu, wiercąc się tak w kółko, ściągnąłem tylko ku sobie złowrogą jakąś uwagę stójkowych, i to właśnie w chwili szczęśliwego domysłu, że ogólny krajobraz oglądać można w pełni dopiero z kolumny Zygmuntowskiej... Niestety, rozwinął się w tej chwili od Bernardynów kondukt żałobny i wszystko w innym kierunku za sobą pociągnął: i nadzieje moje i podejrzenia stójkowych.

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Pod znakiem „orkiestry warszawskiej" rozpoczął się tegoroczny sezon koncertowy. Będziemy, czy nie będziemy mieli własnej orkiestry, która każdemu wirtuozowi da możność wykonywania większych dzieł muzycznych, bez względu na przedstawienia operowe? Jesteśmy, czy nie jesteśmy tak dalece muzykalni, żeby orkiestrze tej zapewnić byt, uczęszczając na urządzane przez nią koncerty symfoniczne? Musimy, czy nie musimy, dla wykazania tej muzykalności, mieć bodziec zagraniczny, choćby w gorszym znacznie, niż swojski, gatunku? Oto pytania, które od dwóch miesięcy zaprzątają umysły naszych kół muzykalnych, a których rozstrzygnąć dotąd nie zdołano. Każdy, słysząc teraz tę orkiestrę, pod wodzą pp. Konopaska i Pileckiego na wiosnę, jeśli się nie mylimy, utworzoną—przyzna, że zrobiła niepospolite postępy, każdy zosobna będzie wyrażał radość, że posiadamy nareszcie „własną" orkiestrę symfoniczną, że „Niemcy" pieniędzy od nas, przynajmniej za muzykę, wywozić nie będą — ale gdy przyjdzie radość tę w nai- stycznej nie dzieli bynajmniej nieprzebyta przepaść od drużyny p. Konopaska.

Że tak jest w istocie, mogli się przekonać słuchacze środowego (d. 28 b. m.) koncertu w Towarzystwie muzycznem, na którym orkiestra warszawska, pod wodzą Zygmunta Noskowskiego, tak świetnie wykonała suitę Griega *Peer Gynt*, że zniewolona oklaskami, powtarzała cały utwór. Ku zupełnemu zadowoleniu wywiązała się też z trudniejszego o wiele zadania: całkiem poprawnie akompaniowała p. Lamondowi, fortepianiście do koncertu (*bmoll*) Czajkowskiego. Mimo to wszystko na sobotnim symfonicznym koncercie orkiestry było prawie pusto.

P. Lamond sprawił słuchaczom najzupełniejszą niespodziankę. Nieznany u nas wcale, nie poprzedzony żadną reklamą, od pierwszych akordów koncertu Czajkowskiego nie przykuł, ale wprost porwał uwagę publiczności i unosił ją takim prądem temperamentu, takim wirem fantazyi i brawury w wykonaniu, że oszołomieni, olśnieni, pytaliśmy siebie z zapartym oddechem, co to dalej będzie? A dalej stało się, że gdy p. Lamond pozostał sam z fortepianem, gdy zabrakło tła orkiestrowego, które mu jest najwidoczniej potężnym bodźcem — przygasł się cały blask jego wirtuozostwa. Zdumiewał i dalej techniką bajeczną — ale kto dziś „bajeczną" techniką nie zadziwia — siłą, wypływającą nie z ramienia, ale istniejącą w dłoni samej i w palcach, nieporównaną istotnie giętkością tej dłoni; trylem, oktawami — tylko polotu, poezyi już się w solowych popisach artysty doszukać było trudno. Jeśli huraganowe — jeśli można się tak wyrazić — tło „Króla olch" Schuberta, granego nad program, wyszło po mistrzowsku z pod palców p. Lamonda, śpiew za to, o zwłaszcza owe przejmujące nawskroś

duszę takty końcowe — wrażenia wywołać nie zdołały. Takich utworów zaś, jak „Nokturny“ Chopina, stanowczo nie powinien mieć p. Lamond w swoim repertuarze—rozwlekłem tempem polotu i poezyi w oddawaniu ich nie zastąpi. Mamy też do niego pretensyę za inne numery programu, jak np. *Valse caprice* Straussa-Tausviga; jest to sobie ramota fortepianowa, której nadać może jaką taką wartość wykonanie rytmiczne, pełne finezyi i wdzięku. Rytm p. Lamond za wielką, zbyt podniosłą ma miarę na takie małe ramy, a gry jego jędrnej, trzeźwej, indywidualnej, typowo męzkiej, szkoda na podobne drobiazgi.

Na jednym z poprzednich koncertów Towarzystwa (25 września) przypomniał nam się Willy Burmester, o którym pisaliśmy szeroko po pierwszych jego u nas występach. Gra znakomitego skrzypka nie mogła ulegać oczywiście żadnym przemianom w ciągu tak krótkiego czasu; co prawda, niepodobna sobie wyobrazić, w czem mógłby zmienić się na lepsze, w jakim kierunku jeszcze wydoskonalić?

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. Dwie pierwsze serye wybornych *Szkiców historycznych* Kubali wyszły w trzeciem wydaniu nakładem Gebethnera i Wolffa (tom I—337 II—316).

— Zmarły prof. A. Pawiński opracował na krótko przed śmiercią wydany obecnie życiorys spolszczonego cudzoziemca, *Michała Grölla*, drukarza, księgarza i nakładcy z XVIII w. Do tej monografii p. Zygmunt Wolski dołączył spis wydawnictw Grölla (str. 125) Gebethner i Wolff.

— Po przeczytaniu *Lizystraty*, dziwacznego fabrykatu, w którym na kanwie komedyi Arystofanesa, pan D., francuz, wyhaftował kilka figurek, a p. S. Kozmian — wszył w tę robotę kilka paciorek stańczykowskich, zapytać można, po co ci panowie zgwałcili stary grób literatury i przebrali czcigodnego nieboszczyka w arlekińskie szaty swego czasu? Czy im zupełnie zbrakło konceptu do stworzenia postaci i wątków własnych?

— P. W. S. Reymont *Komedyantka*, powieść (str 455), Gebethner i Wolff.

— Andrzej Niemojewski *Listopad* (str 136).

— Wanda Krasuska *Zbiór poezyj* (str. 151).

— Bardzo pożądaną publikacyą jest *Lirnik* P. Maszyńskiego, zbiór utworów na głosy mieszane (sopran, alt, tenor, bas) kompozytorów polskich i obcych — tekst i nuty (str. 223), Gebethner i Wolff.

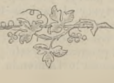
— *Mozajka wilcza* K. Mańczyńskiego z rysunkami Ryszkiewicza jest szeregiem opowieści o doświadczonych myśliwych, polowaniach na wilki, ich napadach, sposobach tępienia itp. Niektóre karty (przygoda Abramka) napisane z talentem (str. 223), T. Paprocki.

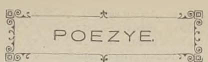
DLA DZIECI. J. de Sobol *Wakacye Pawełka* tłom. Marya Celestyna (str. 110, kop. 60).

KALENDARZE. „Ognisko domowe“ kalendarz popularny ilustrowany (str. 144, kop. 15), Dubowski i Gajewski.

PEDAGOGIKA. Dziełko Stanisława Kramsztyka „Wiadomości początkowe z fizyki,“ ukazało się w przekładzie rosyjskim, dokonanym przez pp. Woronowa i Nikolskiego.

CZASOPISMA. P. Tadeuszowi Nasierowskiemu przyznano koncesyę na wydawanie dwutygodnika *Drukarz i księgarz* w Warszawie.





NA WYBRZEŻU.

Noc głęboka i pomroka sunie po przestwo-
[rze,
A w zatoce wre, klekoce rozigrane morze.
Z chmur wychyla się co chwila błyskawi-
[cy wstęga,
Śmignie żwawo, w lewo w prawo — toni
[tam dosięga,
Widać — z głębi wał się kłębi czarny kę-
[dzierzawy —
Rośnie, rośnie, grzmiąc donośnie: „Na dno
[potępieńce.“
I łbem bodzie kruche łodzie wśród rybaków
[wrzawy;
Śniąc o cudzie, szepcą ludzie modły swe
[dziecięce —
Lecz choć wiosło zda się wrosło w dłoń ka-
[żdego grubą,
Choć zuchwale chłoszcza [illegible] le—stoją przed
[zagubą...
Już wir syczy, rad zdobyczy w przepaść ją
[zagarnie,
Już w ostatni uścisk bratni łączą swe ra-
[miona,
Głowy zwisły, a ich zmysły żałość ćmi
[szalona...
Okrzyk z łódki zabrzmiał krótki—kończą
[się męczarnie.

* *

Idzie zorza aż z za morza, aż z za mgieł ru-
[bieży,
Srebrna kita piany chwyta czerwień jej
[i bieży
I rubinem na tle sinem toni skrząc, migoce.
Już brzeg płaski złocą blaski, a mknąc ku
[zatoce,
Z łąk bezdeni, z gniazda cieni, na mchu
[seledynie,
W barw tysiące strojne, lśniące grono
[gwiaździc płynie.
Z kształtu szaty swej bogatej — istne tu-
[lipany,
Co wrą życiem pod przykryciem drżącem
[fali szklanej.
Dziś niejedna matka biedna, stojąc tu na
[straży,
Czeka syna — barki zgina i coś w sercu
[waży.
Wnet boleści w niem nie zmieści: płacze
[ciężkiej straty...
W zamian może — niesie morze jej swe
[żywe kwiaty...

El-ka.

W DALI.

Radom. Obywatele miasta, zebrani w magistracie, uradzili, ażeby prosić właściwą władzę o wstrzymanie ustawiania nowych latarń i wyjednanie decyzyi: o upoważnienie miasta do zawarcia umowy z Towarzystwem elektrycznem, w celu zaprowadzenia oświetlenia elektrycznego przy współudziale magistratu. Projekt oświetlenia tego rodzaju może podobno liczyć na poparcie władzy gubernialnej.

Z nad Mołtawy. Dnia 21 października zgorzały doszczętnie wszystkie zabudowania dworskie na folwarku Cieśle pod Bodzanowem. Służba miejscowa, z małym wyjątkiem, jako też i pobliscy włościanie sąsiedzi zachowali się przy pożarze obojętnie, nie współdziałając przy gaszeniu ognia i ratowaniu resztek niedopalonych materyałów budowlanych. Władza gminna, pokazawszy się na chwilę, gdzieś znikła, nie zarządziwszy żadnych środków zapobiegających dalszemu szerzeniu się pożaru. Za to straż ogniowa z majątku Dzierżanowa, oddalonego przeszło dwie mile drogi od miejsca katastrofy, sprawiała się dzielnie, przybywszy nadspodziewanie prędko na miejsce, lecz nie mając dostarczanej wody, nie mogła opanować ognia. Gdyby właściciel Dzierżanowa przedstawił ją na tegorocznej wystawie rolniczej płockiej i zrobił z nią próbę, zapewnieby zyskał ogólne uznanie, a popis taki więcejby przyniósł pożytku, niż wszelkie przejażdżki wierzchowców lub ekwipażów, zaprzężonych czwórkami wygłaskanych koroszów, łysych kasztanów itd., a nawet angielskich szparagów. A jacy to ludzie uczestniczą w tej straży! Wszyscy dorodni, młodzi, zwinni, chętni, posłuszni, a przytem okryci odpowiednio i zaopatrzeni we wszelkie przyrządy ratunkowe, a przytem wozy i beczki do wody zaprzężone w konie dobrze utrzymane i biegłe, chociaż tylko podobno zwykłe fornalki. Nie można też było zauważyć licznego udziału przy pożarze sąsiednich ziemian, a przecież dotknięty nieszczęściem zasługiwał na współczucie, nietylko jako sąsiad, ale jako inicyator wielu pożytecznych dla rolnictwa przedsięwzięć, jako hojny chlebodawca swej służby, dbający nietylko o jej dobrobyt, o zdrowie, ale i moralność. *X.*

Kijów. Powstało w tych dniach Towarzystwo eksploatatacyi i przerabiania minerałów pożytecznych w guberniach południowych i południowo-zachodnich. Na czele Towarzystwa stoją inżenier górniczy K. Rząśnicki, inżenier-technolog S. Olszański, inżenier-mechanik E. Skarbek Rudzki i inni. Towarzystwo wydzierżawiło dwa działy gruntu w powiatach Starokonstantynowskim i Krzemienieckim, gub. Wołyńskiej, gdzie prowadzi studya i badania, poszukuje nafty i ozokerytu. W gub. Kijowskiej Towarzystwo zamierza przystąpić do eksploatacyi miejscowych kopalń węgla brunatnego i urządzenia zakładu w powiecie Zwinogrodzkim. Do prowadzenia badań i poszukiwań geologicznych zaproszono inżeniera górniczego, J. Kobreckiego. — Dn. 20-go z. m. na linii kolei Południowo-Zachodnich przeprowadzono próbę przyśpieszonego ruchu pociągów pasażerskich. Z Kijowa wysłano pociąg próbny, który miał przebiegać w godzinę średnio 64 wiorsty i odbyć drogę do Odesy (612 wiorst) w ciągu 10 godzin 35 m., tj. o $3\frac{1}{2}$ godz. szybciej, aniżeli pociąg kuryerski, łączący te same punkty. Próba wypadła niepomyślnie. Pociąg zaraz za Kijowem zaczął się spóźniać i przybył do Odesy z ogólnem opóźnieniem $1\frac{1}{2}$ godziny w porównaniu z projektowanym rozkładem. — *Nowosti* donoszą, iż w guberniach południowo zachodnich w miejscowościach, dotykających do granicy austryackiej, daje się spostrzegać napływ austryackiej „wódki skarbowej.“ Forma butelek, pół butelek, etykiet ze znakami, pieczęci itp. jest tak doskonale naśladowana, że nawet doświadczone oko nie może odróżnić rzeczywistej wódki monopolowej od austryackiej.

Petersburg. Z powodu popłochu na giełdzie petersburskiej *Now. Wr.* rozstrząsa to zjawisko pod rubryką „Przeglądu prasy.“ „Na giełdzie był dzień pełen trwogi i wszystkie papiery mniej lub więcej spadły. *Nowosti* wzięły do serca ten popłoch i radzą graczom giełdowym nie dawać wiary pogłoskom sensacyjnym, rozsiewanym przez spekulantów.“ „Żałować wypada — pisze gazeta — że zainteresowane w obrotach giełdowych towarzystwa nie uciekają się do ścigania kryminalnego takich oszczerców; rozsiewanie fałszywych pogłosek, podkopujących przedsiębiorstwo, jest surowo karane przez prawo, a przestępstwo takie codziennie spełniane jest przez naszych spekulantów względem różnych przedsiębiorstw przemysłowych.“ „Chociaż jednak gazeta porównywa spekulantów ze „złodziejami kieszonkowymi“ i „zbójcami z za węgła,“ przyznać trzeba, że spekulanci mieli pewien powód do trwogi: powodem tym było zawieszenie wypłat przez Bank otomański. Dajmy na to, że publiczność naszą i giełdziarzy mało obchodzą sprawy Banku otomańskiego, ale taka już jest organizacya wszystkich spekulantów całego świata, że każde głupstwo ich niepokoi. Niema co zresztą żałować osób, które straciły w grze na giełdzie. A któż zresztą są ci „oszczercy,“ o których mówi gazeta? Czyż dozór prokuratorski ma badać arkana gry giełdowej? Ale w takim razie prokurator musiałby zamknąć giełdę, i zamknąć w kozie wszystkich graczy. A przecież pomiędzy nimi są milionerzy...“

O PRAWDĘ.

I.

Od jednego ze znawców literatury odebraliśmy list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze!

Słusznie Pan powiadasz, że jednem z najważniejszych zadań krytyki jest „obwieszczanie światu o nowonarodzonych geniuszach i talentach;“ niesłusznym atoli zda mi się zarzut Pański, że ona u nas tego zadania nie spełnia. Proszę sobie przypomnieć głośny w swoim czasie konkurs dramatyczny *Gazety Polskiej* z przed kilku lat. Sąd konkursowy, złożony z najcelniejszych i uznanych krytyków (dosyć wymienić pp.: Chmielowskiego, Keniga, Bogusławskiego), ogłosił *jednomyślnie* utwór p. St. Kozłowskiego p. t. „Albert Wójt“ za arcydzieło, przyznał autorowi premium w kwocie tysiąca rubli i wydał jego dzieło z entuzyastycznemi rzecz można, pochwałami w przedmowie. Veredictum to nie było wynikiem żadnej intrygi, żadnego zawzięcia koteryjnego. autora nikt z sędziów nie znał, ani go się domyślał; było, powtarzam, jednomyślne, a więc widocznie szczere. P. St. Kozłowski został „odrazu postawiony na piedestale“ — jak się Szan. Pan wyrażasz. Postawienie to okazało się wprawdzie grubą pomyłką; lecz przyznasz Pan zapewne, iż pomyłka nastąpiła skutkiem szczerej chęci znalezienia i obwieszczenia krajowi „odrazu“ wielkiego talentu.

Od owego wypadku do dziś nic już podobnego w naszem piśmiennictwie nie zaszło: może to on właśnie za przestrogę posłużył.

Zalecenie Pańskie i zarzut, które z taką mocą wygłosiłeś, mogą mieć niebezpieczną stronę. Krytyka rzetelna jest zadaniem bardzo trudnem w ogólności, a cóż dopiero wobec objawów wątpliwych, jakiemi są pierwsze występy literackie, a prawie zawsze nawet i artystowskie: wątpliwych rozumiem w tym sensie, iż są w nich jawne oznaki zapowiedzi rzeczywistego talentu, pewne cechy genialności, mogące się z czasem w pełni rozwinąć — albo też i nie. Przykładów jednej i drugiej kategoryi mógłbym dużo przytoczyć; lecz nie wypada mi zbyt długiem pisaniem Szan. Pana nudzić.

Pytanie zachodzi—co prawdziwsze: czy obwołanie odrazu za geniusza nowotnika literackiego, lub innego, i zawracanie przez to głowy młodzieńcowi, który obwołania nie ziści, a w obałamuceniu swem słabszemi coraz produkcyami zada im kłam, — czy też ta surowa nawet recenzya pierwszego występu, po którym szereg coraz piękniejszych utworów wielkość talentu wskaże? Jamniemam, że talent prawdziwy, a dopieroż geniusz, żadnych krytycznych srogości nie ulęknie się i kapitulować przed nimi nie będzie; małe zaś uzdolnienia od pochwał pysznieją. mierności elukubracyami rynek piśmienniczy zawalają. Trzeba o tem pamiętać, patrząc na nadmierny rozrost naszej beletrystyki. Za szczęśliwy wyjątek uznać należy wspomnianego autora „Alberta Wójta.“ Po pierwszych może chwilach bardzo naturalnego upojenia, posiadł on tyle świadomości i samokrytyki, że się tak wyrażę, iż nie wziął za dobrą monetę wydanego dlań dyplomu genialności, nie zawrócił sobie głowy twórczością dramatyczną, jakby to dziewięćdziesięciu dziewięciu innych najpewniej uczyniło, lecz przeszedłszy na pole sprawozdawcze i krytyczne, interesujące i nauczające w tym zakresie prace ogłasza.

A. K.

Nie przeczymy, że patent genialności wydany młodzieńcowi zaraz po pierwszym występie na arenie, może wywołać zawrót w jego głowie, nie sądzimy jednak, że to niebezpieczeństwo jest gorsze od przeciwnego — od mrożenia i zniechęcenia wielkiego talentu surowością lub lekceważeniem. My wogóle za dużo dodatniego wpływu przypisujemy trudnościom i przeciwieństwom, z jakiemi walczyć musi człowiek w początkach życia. Prawda, wzmacniają one charakter, ale ile sił złamią, ile ich roztrwonią — na co? Na zabiegi o zdobycie kawałka chleba, całego ubrania, ciepłego kąta, poparcia prasy itd. Marny skutek nie odpowiada nakładowi energii. Zresztą w wypadku, który wywołał uwagi szanownego autora, nie potrzebujemy obawiać się nadmiernego rozrostu pychy, gdyż Biegas nic o pochwałach dla jego utworów nie wie i żadnych pism nie czyta. On z całej literatury zna dopiero — elementarz. *Red.*

II.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 43 *Prawdy* w artykule p. W. Kozłowskiego, zatytułowanym „Henryk Struve, Wstęp krytyczny do filozofii,“ znajdujemy następujący ustęp: „Że w obecnej chwili więcej jesteśmy ciekawi tego, co się dzieje po za rzeczywistością, niż w niej, że większy mają dla nas urok fantastyczne rojenia o tem, co leży po za granicami naszego poznania, niż prawdy w zakresie wiedzy zdobyte, że łatwiej pozyskują naszą wiarę takie rzeczy, *jak spirytyzm i geometrya transcendentalna...*“

Ponieważ geometrya transcendentalna niema nic wspólnego z badaniami nad światem po za zmysłowym, więc takie zestawienie spirytyzmu z geometryą transcendentalną musi się wydać co najmniej dziwnem. Wszakże dzięki poszukiwaniom Łobaczewskiego, Bolaya, Riemanna, Helmholtza i Spottiswooda mamy dziś jasne pojęcie o pewniku geometrycznym, którego znaczenie było niezrozumiałem dla geometrów przeszłych wieków. Jakże więc można porównać ze sobą wytwór chorego umysłu lub szarlatanerYi z potężnem narzędziem badań subtelnych? Geometrya n-wymiarowa, chociaż nie znajduje bezpośredniego zastosowania do naszej przestrzeni, w przypadku gdy n jest większem od trzech, daje początek całemu szeregowi głębokich dociekań naukowych. Jeżeli zaś niektórzy spirytyści starali się eksploatować badania geometryi transcendentalnej na korzyść swoich bredni, to temu chyba nauka nie jest winna.

Wobec tego wyjaśnienia, spodziewam się, że Szanowny Pan nie odmówi mi miejsca w Swojem piśmie.

Z prawdziwym szacunkiem

Dr. Karol Hertz.

PRASA ROSYJSKA.

Warsz. Dniewnik donosi, że p. W. Spasowicz miał w sali uniwersytetu petersburskiego odczyt o A. Pawińskim, zakończony słowami:

„*Państwo polskie zginęło (uszło) bezpowrotnie, ale sama Polska stała się żywą częścią państwa rosyjskiego i jako taka z jednej strony wymaga bezstronnego zbadania swej przeszłości, a z drugiej sama ofiaruje swoje siły dla rozstrzygnięcia zadań ogólno-państwowych.*“

Do tych słów *Warsz. Dniewnik* dodaje od siebie następujące uwagi:

„Ta część referatu p. Spasowicza, odczytanego w Petersburgu wobec licznej publiczności, naturalnie w tym celu, aby prasa rozniosła jak najszerzej jego wyrazy, zasługuje na uwagę przez swą śmiałość, trzeźwość i szczerość. Nadewszystko zaś ze względu na śmiałość tych zdań; nie ulega bowiem wątpliwości, że w zagranicznej prasie polskiej zerwie się burza protestu i oburzenia ze strony wszystkich polityków różnego gatunku i maści, przeżuwających dotychczas tępiejącymi coraz bardziej zębami niestrawny pokarm patryotycznej opozycyi *quand meme*, jaki połknęli po r. 1860. Powiedzą nam, że nie trzeba zbyt wielkiej odwagi na to, aby wzgardzić tymi śpiewakami, ochrypłymi skutkiem daremnych usiłowań przekrzyczenia głosu prawdy, rozumu politycznego i doświadczenia historycznego; ale nie należy zapominać, że tym kapelmistrzom zagranicznym wtórują tu i owdzie odgłosy, niedosłyszalne w prasie, ale nie mniej przeto dokuczliwe, z którymi niepodobna się nie liczyć, niepodobna nie pić z gorzkiej czary posądzeń, oskarżeń i potwarzy... Wywodów szanownego uczonego i jurysty niepodobna przyjąć inaczej, jak tylko z uznaniem w nich zupełnej szczerości, nietylko dlatego, że wypowiedziane były publicznie, ale i dlatego, że wypowiedział je człowiek nauki i długoletniego doświadczenia, znający doskonale cenę i znaczenie słowa publicznego i zdający sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ono obarcza tych, którzy zdecydują się przemawiać *nietylko za siebie, ale i za wielu innych.* A słowa W. D. Spasowicza niewątpliwie wyrzeczone były przez niego w tem przeświadczeniu, że przemawia w imieniu bardzo wielu będących z nim jednej myśli, a skoro wypowiedziane były teraz, to z tego wynika, że przyszedł już czas na to. Każdy owoc ma swoją porę, my pragniemy wierzyć, że W. D. Spasowicz nie pomylił się i że owoców tych dojrzało w społeczeństwie polskiem już tyle, że nadeszła pora skosztowania ich. Żaden z poprzedników jego na trudnej drodze polepszenia stosunków rosyjsko-polskich nie przemawiał tak jasno i stanowczo; trzeba więc tylko pragnąć, aby to słowo pokoju i jedności wyrzeczone było *w dobrą godzinę.*“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Batumie odkryto wyrób fałszywych rubli srebrnych.

Szkoły. Do seminaryum nauczycielskiego w Jędrzejowie na pierwszy kurs zapisało się 34 uczniów, na drugi 21, na trzeci 15. Przy zakładzie jest internat. Każdy z pensyonarzy płaci 8 rs. miesięcznie za utrzymanie. W r. z. 14 seminarzystów otrzymało posady nauczycieli w szkołach elementarnych.

— Do ministeryum rolnictwa nadesłano dwa podania w sprawie otwarcia wyższego instytutu agronomicznego, sześć o szkoły średnie rolnicze i 41 o niższe rolnicze.

— Komisya egzaminacyjna przy uniwersytecie moskiewskim dopuściła do egzaminu sześć kobiet, które otrzymały stopnie lekarzy z odznaczeniem. Trzy z nich kształciły się w Bernie, trzy w Paryżu.

— Łódź liczy obecnie prócz 30 rozmaitych zakładów naukowych prywatnych, 29 rządowych, a mianowicie: 2 gimnazya męskie i żeńskie, szkołę wyższą rzemieślniczą, miejską i 25 początkowych miejskich. Utrzymanie 25 szkółek początkowych kosztuje rocznie rs. 78,271, z których część, tj. rs. 73,319 płacą w formie podatku szkolnego obywatele miejscy, pozostałą zaś sumę rs. 4,952 dopłaca kasa miejska, która prócz powyższej sumy udziela dla gimnazyum żeńskiego rs. 7,250 i ponosi całkowity koszt utrzymania równoległych klas przy szkole wyższej rzemieślniczej rs. 8,037 k. 50. Utrzymanie szkoły miejskiej kosztuje rs. 10,695. Razem zatem Łódź na utrzymanie szkół wydaje rocznie rs. 30,898. W r. 1895 uczących się było: w gimnazyum męskiem 340, w żeńskiem 571, w wyższej szkole rzemieślniczej 274 i niedzielno-rysunkowej 56.

Koleje i komunikacye. Kolej Rysko-Tukumska, która z powodu upadłości była wystawiona na licytacyę publiczną, nie dostała się w ręce nabywców prywatnych, lecz w sumie 800,000 rs. przeszła na własność skarbu.

— *Gazeta polska* zapewnia, iż zarząd zachodniego okręgu kolei skarbowych będzie utworzony w Warszawie r. p. po wprowadzeniu w czyn reformy według projektu ks. Chiłkowa, kierownika ministeryum komunikacyi. Wniosek ten, złożony radzie państwa, prawdopodobnie na wiosnę w czyn wejdzie. Jako instytucya sternicza, przekształcony będzie zarząd kolei Terespolskiej, który oprócz głównej linii ma pod swoją opieką trzy boczne: Brzesko-Chełmską, Siedlecko-Małkińską i Nadnarwiańską, a obecnie bierze nowozbudowane linie: Ostrołęcko-Pilawicką i Łukowsko-Lubelską. Do zarządu tego będzie przyłączona kolej Nadwiślańska z odnogą Iwangrodzko - Łukowską i linią obwodową w Warszawie. Następnie część kolei Petersburskiej od Warszawy do Wilna z odnogą Landwarowo-Wierzbołowską, Orańsko-Pateraniecką, nowobudowaną Olidzko-Suwalcką i Augustowsko-Grodzieńską. Wreszcie do okręgu warszawskiego będzie przyłączona część sieci kolei Południowo-Zachodnich, od Kowla do Grajewa. Dla pomieszczenia biura okręgu, w którem pracować ma kilkuset urzędników, zbudowany będzie w środku miasta okazały gmach ze znacznym nakładem; obecnie bowiem zarząd kolei Terespolskiej mieści się w wynajętym lokalu przy ul. Hortensya, a Nadwiślańskiej w pałacu L.

Kronenberga i w domach gminy ewangielickiej przy ulicy Erywańskiej. Jednocześnie z utworzeniem w Warszawie zachodniego okręgu kolei skarbowych, otworzona będzie okręgowa szkoła techniczna, terespolską bowiem na razie zamknięto; nadwiślańska mieści się w Chełmie i nie wystarcza dla synów urzędników i oficyalistów zachodniego okręgu kolejowego, którzy chcą otrzymać wykształcenie specyalne w celu pozyskania służby na kolejach żelaznych.

Zdrowie publiczne. Na wyspie Formozie wybuchła dżuma. (*Kur. Warsz.*).

Sądy. Pierwszy departament cywilny izby sądowej warszawskiej sądził w drodze apelacyi sprawę Piotra Hryniewieckiego, b. maszynisty kolei Nadwiślańskiej, przeciwko tej drodze o odszkodowanie za wzrok utracony. Występujący w imieniu poszkodowanego adw. przys. Wincenty Biskupski, żądał zasądzenia od zarządu na rzecz maszynisty 12,000 rs., w stosunku zarabianych dawniej 1,200 rs. rocznie. Powoławszy się na świadków, obrońca oparł głównie swoje powództwo na tej zasadzie, że kolej przeciążała Hryniewieckiego pracą, gdyż skutkiem braku parowozów i maszynistów musiał on jeździć corocznie przeszło 30,000 wiorst, że nie miał dostatecznego wypoczynku, że wzywany był na służbę częściej od innych kolegów, skutkiem tej okoliczności, iż mieszkał na Pradze blizko kolei, że jako więcej doświadczonemu maszyniście, pozostającemu na kolei od początku jej ist ienia, dawano nieraz do rozporządzenia za dużo wagonów i kazano jeździć po liniach ; adniejszych (obwodowa itp.). Sąd okręgowy, po zbadaniu świadków, uznał powództwo za usprawiedliwione i zasądził na rzecz Hryniewieckiego od kolei rs. 10,000 jednorazowego wynagrodzenia za wzrok utracony. Skargę apelacyjną obrońcy kolei izba pozostawiła bez skutku i przyznała nadto na rzecz powoda koszty sądowe.

Wystawy i zjazdy. W Warszawie otwarta będzie wystawa pracy kobiet.

— W Petersburgu r. 1897 przed wiosną zwołany będzie zjazd pracowników i miłośników sceny. Na ten cel otwarto kredyt w sumie 4,000 rs. Uczestnikami mogą być bez żadnej opłaty członkowie Towarzystw teatralnych, a po opłaceniu trzyrublowego wpisu — wszyscy artyści, przedsiębiorcy, muzycy, kapelmistrze, współpracownicy pism peryodycznych, przedstawiciele świata artystycznego, literackiego itd. Referaty powinny być krótkie, tak, aby czytanie ich nie trwało dłużej nad pół godziny. Wyjątek w tym względzie uczyniony będzie tylko dla prac, budzących szczególne zainteresowanie.

Wypadki. W Piotrkowie, na stacyi kolei Wiedeńskiej, rozbiły się dwa pociągi towarowe. Uległ potłuczeniu jeden smarownik.

Zmarli. Jerzy Harley, znakomity histolog szkocki, w Edymburgu.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. K. S. w Moskwie. „Pisma" Świętochowskiego sprzedawane będą bez prenumeraty; całość obejmie około sześciu tomów, w których pomieszczone będą tylko utwory artystyczne. Inne prace wyjdą potem w drugiej seryi. Kiedy obchodzony będzie jubileusz Głowackiego — nie wiemy. *Nauki poezyi* H. Cegielskiego (1879). Z nowszych: Wł. Korotyńskiego *Jak pisać po polsku*, kop. 90, nakład Gebethnera i Wolffa.

Pani Cecylii G. Zwyczajne rymowanie, napojone goryczą.

J. T. Na podstawie nadesłanych prób radzimy: niech Pan nie pisuje wierszy.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Октября 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.